№ 18. Warszawa, dnia 5 Maja (23 Kwietnia) 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWA OFIARA.

Czternaście, a według innych obliczeń piętnaście milionów zł. r. podatku wódczanego z Galicyi — był to orzech za twardy dla jej deputatów w Wiedniu, zwłaszcza że go przedewszystkiem zgryźć mają nie ci, których—jak powiada Voltaire—Bóg stworzył z siodłem na grzbiecie, ale ci, których stworzył z ostrogami u nóg — szlachta. Chociaż więc tę piękną daninę wymyślił „minister-rodak" i głównym ciężarem zwalił ją na swą ojczyznę, Koło polskie, pomimo całej swej austryackości, uczuło coś w rodzaju boleści czy gniewu. Rozpoczęły się więc w jego łonie burze i spory, a w kraju wrzenie przeciwko rodzimej „ekscelencyi." Dosyć już tych ofiar, dosyć — wołano zewsząd — pozwoliliśmy na zdarcie kapoty, ale nie pozwolimy na zdarcie skóry, która pozostała naszem ostatniem przykryciem! Zdawało się, że 15 milionów guldenów pozostanie w kieszeniach nędzarza, uszczęśliwionego swobodą śpiewania i składania swych szczerych wyznań w archiwach Prokuratoryi. Tymczasem nagle „zaszła zmiana w scenach widzenia" ojców Galicyi. Jednego z nich wezwał do siebie cesarz i powiedział mu... Co powiedział — pozostaje dotąd tajemnicą, dość, że p. Jaworski, wyszedłszy od monarchy, oświadczył, że podatek wódczany musi być przyjętym. Naturalnie domysły występują tu ze swoją ciekawością. *Dziennik warszawskij* na podstawie skonfiskowanego w Krakowie numeru *Czasu*, w którym doniesiono z Wiednia o nowych rozporządzeniach w armii, wyprowadza wniosek, że ustępstwo galicyan w sprawie podatku wódczanego wymożone zostało naciskiem potrzeb wojennych. „Gazety przebąkują — mówi *Dziennik* — że z wódką wiąże się życiodawcza idea Polski jagielońskiej; wyrzec się tej idei teraz, kiedy następca tronu ma przyjechać do Galicyi w charakterze głównego inspektora pułków piechoty, kiedy tyle milionów, zdobytych krwawym potem ludów, wydano na olbrzymie uzbrojenia i uśmiecha się nadzieja odzyskania Warszawy i „królestwa kijowskiego" — jest niepodobieństwem." O ile ironiczna uwaga *Dziennika* opiera się na istotnej rozmowie cesarza Franciszka Józefa z p. Jaworskim, rozstrzygać nie będziemy i w braku wiarogodnych danych — nie możemy. To wszakże wydaje nam się prawdopodobnem, że monarcha oprócz życzenia osobistego musiał deputatowi galicyjskiemu przedstawić pewne racye polityczne, wymagające zasiłku dla skarbu państwa. Ale jaką racye te posiadają trwałość i jaką dają rękojmię odpłaty za ofiary? Najlepiej odpowie tu doświadczenie, które uczy, że posłom galicyjskim nieraz już błyskano przed oczami ognikiem „wyższej polityki" dla wyciśnięcia z nich ofiar pieniężnych. Wkrótce ognik gasł — a ofiary pozostawały jako ciężar ekonomiczny, wyniszczający ludność niemiłosiernie. Nie policzylibyśmy tych pijawek podatkowych, które przystawiano do ciała Galicyi pod pozorem uzdrowienia całego organizmu państwowego i wzmocnienia szczególnego tej części. Mamidła owe, nieraz używane z zupełną świadomością podstępu, zniknęły w rozmowach gabinetowych, w szeptach poufnych, w targach dyplomatycznych; więc dziś trudno byłoby je okazać na przestrogę, bo współcześnie żadne piśmienne świadectwo nie przytwierdziło ich gwoździem dla potomności. Ale o tem wszyscy wiedzą, że większą część swych usług i poświęceń złożyła Galicya na ołtarzu Austryi pod wpływem takich pokuszeń i uwodzeń. Nie zdziwimy się przeto, gdy ona po przyjęciu 15-milionowego ciężaru usłyszy, że powody zobowiązujące ją do tego haraczu, przeminęły.

Kilka słów o ekonomicznej stronie podatku. Wywołał go chroniczny głód skarbu, wypróżnianego na cele wojskowe a usprawiedliwia poniekąd przykład innych państw. Podczas gdy w r. 1886 opłaty spirytusowe wynosiły w całej Austryi 17,351,116 zł. r., dochody tego rodzaju wzrosły: we Francyi do 96 milionów zł. r., w Anglii — 174 mil., w Rosyi — do 339 mil.; Niemcy po nowej ustawie wprowadzonej 1 października zeszłego roku, spodziewają się 143 miliony marek. Austrya zatem rzeczywiście czerpie z tego źródła mniej, niż inne państwa. Ale tę okoliczność łagodzącą osłabia ogół jej brzemion podatkowych, gniotących ludność zabójczo, co do Galicyi zaś — najniekorzystniejszy jej udział w dźwiganiu nowego ciężaru: mianowicie, podczas gdy inne prowincye Cislitanii zapłacą 7—8%, ta — aż 25%. Jest to stosunek tak uderzający, że cyfr objaśniać nie potrzeba.

Głos nasz jest sądem zdaleka, rozumowaniem, zasilonem jedynie logiką i tymi faktami, które na wierzch się wydobyły; nie ma on więc pretensyi do nieomylności. Galicyanie lepiej i bliżej ze sprawą obeznani, a ich przedstawiciele w Wiedniu przy głównym warsztacie stojący powinniby wiedzieć, co im czynić wypada. Ale Koło polskie tyle złożyło dowodów niewolniczej uległości, taką budzi nieufność w opinii kraju, że słusznie obawiać się można, czy nie wpadnie w dół pozorami i ułudnemi słowami przykryty, w którym odmawiać będzie żałośnie: i nie wódź nas na pokuszenie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W tygodniu ubiegłym rozwijał się dalej kłębek drobnych spraw politycznych, walk stronniczych i intryg. Francya śpiewa ciągle, że „potrzeba jej Boulangera,“ nie czując wcale, ażeby jej potrzeba było rozumu i godności. Przyszły bohater jest ustawicznie przedmiotem starć ulicznych, zwołuje zebrania, ogłasza swoje programy, nie zamyka ust, nie wypuszcza pióra z ręki, wypowiada mowy, rozpisuje listy, a nadewszystko wichrzy i klamie. Tłum bluzowy i niebluzowy dostarcza mu obficie pęcherzów, podtrzymujących tego pływaka na wierzchu fal politycznych.

Prezydent Carnot odwiedził kilka miast i dłużej zabawił w Bordeaux, gdzie skąpy jego język okazał się najhojniejszym. Zapowiedziana jednak „wielka mowa“ skurczyła się do bardzo krótkiej. Widocznie Carnot wyrodził się z gadatliwości swych ziomków i wyżej ceni złoto milczenia, niż srebro mówienia. Pokrzykiwano mu przyjaźnie podczas podróży, ale i tu i owdzie musiał wysłuchiwać wrzasków na cześć Boulangera. Ostatecznie, zdaje się, że, wróciwszy do domu, nie powiedział sobie: przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem. Jest to człowiek cnót i przymiotów cichych. Czy takiego prezydenta potrzebuje dziś Francya? Czy nie wolałaby gadatliwego Ferrego lub kogoś, któryby zagłuszył nieco chór bulanżystów?

Cesarz Fryderyk III przestał już nawet przyjmować raporty ministrów: nie opuszcza łóżka, leży w ciągłej gorączce i w zadławieniu ropą, obficie z gardła płynącą. Odbywa się prawdopodobnie rozpad stoczonego chorobą organizmu. Pomimo że dni monarchy są policzone, pomimo że on już niedługo przeszkadzać będzie tym, którzy z nim walczą, spokojnie umrzeć mu nie pozwalają. Prasa — jak poprzednio — szerzy oszczerstwa i wyraźne zniewagi, a lekarze niemieccy kopią kretowiska. Wszystkie jednak ich wysiłki nie zdołały dotąd wysadzić Mackenziego, który posiada nieograniczone, a przyznać trzeba — słuszne zaufanie monarszej pary. Jeśli przypomnimy sobie, że rak w gardle Fryderyka III wystąpił już przed rokiem groźnie, podziwiać należy sztukę i umiejętność lekarza angielskiego, który zdołał ratować dotąd chorego.

Ministeryum hr. Taaffego było znowu podminowane niebezpiecznie. Do podatku wódczanego przyłączyły się wybuchy nienawiści ku Gautschowi, które w ostatniej chwili zażegnano, dzięki staroczechom i polakom. Ponieważ jednak młodoczesi, przewodniczący w ataku, podnieśli słuszne krzywdy, postanowiono więc akt ich oskarżenia, wygłoszony przez d-ra Gregra, pewnemi ustępstwami osłabić.

Powstanie chłopskie w Rumunii stłumione, ale pod popiołem zostało zarzewie, które znowu kiedyś się rozżarzy. Natura tego ruchu polityczno-społecznego zbyt jest zagadkową, a raczej zakrytą osłonkami sprawozdań urzędowych, ażeby można było dojrzeć prawdę.

Serbia ma nowe ministeryum Christicza, które na jakiś, bardzo krótki czas załata dziury Milanowego płaszcza, ale trwałego uspokojenia krajowi nie da. Wogóle trwałość stosunków politycznych w państwach bałkańskich nie nastąpi, zdaje się, przed rozwiązaniem kwestyi wschodniej i będzie dopiero wytworem grożącej ciągle wojny.

Między Grecyą a Turcyą wybuchły nieporozumienia, które prasa już wyzyskuje, choć doniosłości ich jeszcze nie zna. Powodem ma być Kreta.

Papież, przyjmując pielgrzymów galicyjskich, dał im oględne i nieuchwytne zapewnienie swej opieki nad tradycyami religijnemi w obrządkach. O tej jego odpowiedzi i związanych z nią wywodach pomówimy osobno.

BADANIA NAUKOWE.

PROCESY DZIEJOWE.

II. Ascetyzm a życie społeczne.

(Dokończenie).

W chwilach podobnego rozkładu i z pośród takiegoż sekciarstwa wyrósł budyzm. Zresztą, grunt był przygotowany przez bramanizm, głoszący: „Kto jest jednaki dla przyjaciół i wrogów, wobec zaszczytów i niesławy, na chłód i ciepło, ból i przyjemność, wolny od żądz, obojętny na naganę i pochlebstwo, milczący, zawsze zadowolony lubo bez domu, zamknięty w swej zadumie, ten jest mi drogi.“ Atoli dopiero apostołowie budyzmu doprowadzili pogardę dla ciała i dążeń społecznych do usystematyzowanej nauki. Jako ideał wystawia ona zdanie: skóra, ścierwo, kości, głowa są jednakie u wszystkich ludzi, jedynie ozdoby i upiększenia sprowadzają nierówność,“ lecz jak chrześciaństwo szuka urzeczywistnienia tej zasady nie w życiu doczesnem, lecz pozagrobowem, podobnież budyzm wyznaje ją wobec — nicości. Oderwanie się od znikomości chuciowej obwieszczono za cel najwyższy, obojętność zaś względem społeczeństwa — za cnotę najwybrańszą. Że oba wyznania stały się najbardziej rozpowszechnionemi mimo swych dążności anty-społecznych, zawdzięczają to, iż już wcześnie przyznały „niedoskonałość“ natury ludzkiej, a oswobodziwszy masy od krańcowości ascetycznych, złożyły spełnianie odnośnych praktyk na wybrańców — zakony. Zresztą najazd barbarzyński przyczynił się sporo do przerodzenia chrześciaństwa. Pełne życia, energii i ufności hordy wlały nowe soki w strupieszałą społeczność rzymską. O masowem, chociażby nawet umiarkowanie ascetycznem spędzaniu życia nie mogło być mowy wśród żądnych doczesności tłumów. A lubo znalazły się liczne jednostki, które z całą dzielnością niewynaturzonego temperamentu rzucały się w samoumartwianie, wznoszenie zaś klasztorów i pustelni postępuje z rozszerzaniem się nowej wiary, przecież wygórowane samoumartwianie ustaje powoli nawet wśród kół zakonnych, na które coraz mniej składają się fanatyczni siepacze własnych „osłów.“ Fala wzbiera jeszcze w ponurej epoce w w. XI—XIV, święci i asceci rodzą się jak grzyby po deszczu, w samym w. XII powstaje z górą 40 nowych zakonów... Atoli społeczeństwa, mimo ciężkich doświadczeń, nie tracą nadziei. Sekty z początków ery chrześciańskiej negowały społeczność, wpadały w orgię chuciową lub obłęd ascetyczny; późniejsze kłóciły się o dogmaty; obecne poszukują „sprawiedliwszego“ pożycia gromadzkiego. Potężne postacie Segarellów, fra Dolcinów z orężem w ręku dobijają się o zreformowanie „Chrystusowe“ społeczeństwa; „bracia i siostry wolnego ducha“ w swym panteizmie zapominają nawet o życiu pozagrobowem i wszystko umieszczają na tym padole płaczu...

Słowem, rozwój filozofii samoudręczenia i napięcie odpowiednich praktyk postępują w zależności od stosunków społecznych; fala już podnosi się, już opada stosownie do tego, czy człowiek czuje się szczęśliwym lub nie wśród społeczności i w jakim sto-

[1])

JURGIS DURNIALIS.

(SIELANKA).

I.

Ktoby wyruszył z owego miejsca, w którem Niemen porywa w szerokie, acz płytkie ramiona Wilię, przebiegł ową cudną dolinę, gdzie ongi kwitły tulipany i narcyzy, a dziś co niemiara łopuchów się pleni — i nie bacząc na śliczne litwinki, co niosąc wodę, brodzą po błocie dużemi i czerwonemi nogami — dążył wciąż przeciw nurtom rodzicielki naszych strumieni, ujrzałby nareszcie rozległą wieś — Zaspaną.

Krańcowa chata, wraz ze świrnem (śpichrz), chlewami i gumnem, należy do Piktasów. Zabudowania— pokaźne i gdyby wicher nie rozstrzępił w kilku miejscach słomianej strzechy, mogłyby uchodzić za wzorowe.

Dom mieszkalny, jak zwykle u porządnych gospodarzów, składa się z dużej izby, obszernej sieni i warzywni. Do boku tej ostatniej tuli się, jak do macierzy, maluczki alkierzyk, zwany bokówką; w całej wsi nie ma podobnego.

Dziad teraźniejszych gospodarzów—Wojciech, był przezwany we dworze Krzywym, a we wsi Starym Wojciechem—innego nazwiska nie miał. Był to człowiek niezły i w sąsiedztwie przyjemny, ale niezdara: budynki zaniedbał, pole zniweczył i o mało całej gospodarki nie postradał.

Syn Wojciecha — Maciej już w młodzieńczych latach zasłużył na przydomek Piktasa *); z czasem przydomek zamienił się na nazwisko, które przeszło i na dzieci.

Maciej Piktas był gospodarzem, jakich mało. W ciągu swego życia lepsze budynki *przesypał*, gorsze zastąpił nowymi, wyhodował takie bydło, jakiego w całej wiosce przedtem nie widziano; to też dziedzic zrobił go wójtem. Dostawało się wówczas wszystkim: póki dobrze — dobrze, ale byle co — czy płot u kogoś dziurawy, czy strzecha przepruta — złaje jak nieboskie stworzenie... Lękano się go jak dyabła.

Sprawując urząd, przyjmował nieraz w swym domu nietylko łowczego, klu-czwojta i pisarza gminnego, ale [illegible] proboszcza, a parę razy i samego dziedzica: więc budując chatę, oddzielił ścianą cz[illegible] warzywni i na podziw całej wsi urządził w bokówce pański pokój, to jest taki, w którym nie było ani drobiny dymu, ponieważ ogrzewał się bokiem pieca warzywni. A gdy Piktas wykleił ściany papierami, które dostał we dworze, gdy postawił nowe, bielutkie łóżko o kilku pierzynach, zielony stolik, dwa błękitne, kupione od łowczego krzesła i czerwoną komodę z pięknymi żółtymi ptakami po rogach — podziwom nie było końca.

Warzywnia, czyli komora, niczem się nie różniła od innych we wsi i przeznaczoną była do przechowywania na zimę zapasów: marchwi, brukwi, ziemniaków itp. W niej też stało dwoje żaren do mielenia zboża i duża stępa z zawieszonym na giętkiej żerdzi ogromnym stęporem. Ow stępor w swym czasie również niemały podziw sprawił w całej wsi, gdyż z pomocą tej maszyny jeden parobczak mógł otłuc tyle zboża, ile ręcznymi stęporami zaledwie czterech zdołało. Podziwiano, ale że był to wymysł sąsiada Piktasa, nie chciano go naśladować... Zresztą mieli w tem słuszność: jakiś Piktas ma być mędrszym od ojców i dziadów! Sam ksiądz proboszcz powiadał na kazaniu, żeby zachowywać mądre i cnotliwe zwyczaje przodków — to też słuchano go.

Umierając, Maciej Piktas zostawił dwóch synów i jedną córkę.

Starszy — Grzegorz — chciał być podobno olbrzymem, lecz nie podołał zadaniu:

*) Piktas — zły.

pniu znienawidzona tegoczesność wysnuwa pierwiastki lepszych urządzeń lub roztacza położenie bez wyjścia. Ilekroć w życiu społecznem rozbudzają się żywotne hasła reformacyjne, o ponurem widmie ascetyzmu nie ma mowy; natomiast, kiedy zagasa wszelki promień skutecznej walki, filozofia samoumartwienia wzrasta w potęgę. I odpowiednie ideały ascetyczne: pokora, posłuszeństwo, zaleca się zawsze w celu zażegnania burz społecznych... Z rozbiciem filozofii dualistycznej, roztrząsane prądy tracą grunt pod nogami; przejścia społeczne wykwitają w inne, pokrewnego ducha doktryny. Chwila obecna, przedstawiająca jedno z większych rozprzężeń dziejowych i również jak Rzym Cezarów widząca rozpierzchłe atomy, związane nienawiścią, wyłania nowe typy, anty-społeczne. Pierwotne całkościowe jestestwo, sprzykrzywszy sobie istność, postanawia unicestwić się, rozpada się przeto na byty pojedyncze i w tej postaci dąży do nicości — ta poezya Mailändera jest krewniaczką rozbieranych już odprzaństw społecznych. Znajdzie się i więcej podobnych okazów. Lecz w głębi wrze ufność lepszych czasów; być może, wyidealizowana przyszłość nie spełni i setnej części pokładanych nadziei, lecz to nie zmienia postaci rzeczy. Doktryna samobójcy Mailändera spotyka się z uśmiechniętą i pogodną nauką o wartości życia ociemniałego Dühringa: „żyć warto, bo życie może być pięknem.“ Harmonijne zaspokojenie potrzeb leży w postawie programów mas. Prace genialnego waryata, Fouriera, uwidoczniły najwyraźniej tę dążność. Rozłożył człowieka na popędy i potrzeby i usiłował wykreślić ustrój, w którym wszystkie istniejące stany subjektywne znalazłyby zaspokojenie. Był on utopistą, lecz w powyższem sformułowaniu uchwycił tendencyę chwili, która, wydzierając przyrodzie tajemnicę po tajemnicy, ruguje fachową pracę fizyczną i otwiera po raz pierwszy w historyi epokę, gdy po za sprawą produkcyi materyalnej każdy znajdzie czas na zajęcie umysłowe.

Lud. Krz.

WYNALAZKI.

Lutowanie elektrycznością. Ciepło, wyiązane z prądów elektrycznych zużytkowanem obecnie zostało w lutowaniu metalów. Dziennik *Natura* podaje opis tego pomysłu, którego wynalazcą jest P. Benardez.

Zasadą tego procesu jest wytworzenie obiegnika Wolty, czyli, że tak powiemy, *tetroru elektrycznego*, pomiędzy metalem w punktach mających się spoić, a kawałkiem węgla, którym przeprowadza się po powierzchni części, jakie chcemy zlutować. Prądu elektrycznego dostarcza serya akkumulatorów utrzymywanych, stale w biegu przez machinę z prądem nieprzerwanym. Biegun ich negatywny połączonym jest ze stołem z blachy żelaznej, odosobnionym od ziemi i tworzącym rodzaj kowadła elektrycznego, na którym pomieszczają się części metalu, mające się zlutować. Biegun pozytywny łączy się z ołówkiem węglowym, ręcznie manipulowanym. Ołówek ten opatrzonym jest rączką izolującą i kapturkiem ochraniającym rękę od obryzgania metalem, stopionym przez obiegnik elektryczny.

Zlutowanie mniej jest trwałem, lub nie udaje się wcale, gdy kowadło połączono z biegunem pozytywnym a węgiel z negatywnym. Dotykając lekko sztuki ołówkiem węglowym i cofając go następnie szybko, wytwarzamy obiegnik stapiający natychmiastowo metal, który spaja z sobą części z wielką mocą.

Gdy długą jest linia lutu, gdy chodzi naprzykład o spojenie ze sobą dwóch arkuszy blachy żelaznej, jak to ma miejsce przy wyrobie beczek, dość jest przeprowadzić ołówek węglowy wzdłuż sztuk spoić się mających, aby pozyskać spojenie za jednem przeciągnieniem ołówka.

Natężenie prądu zależy od grubości sztuk do lutowania oddanych; w takim razie reguluje natężenie liczba akkumulatorów, których potrzeba 28 dla otrzymania obiegnika odpowiedniego.

Tenże sam proces służy do wiercenia otworów w płytach żelaznych; wsuwając pręt metalowy w tak wywiercone otwory i stapiając oba jego końce prądem, otrzymujemy znitowanie elektryczne.

Blask z obiegnika Wolty byłby niedogodnym dla robotnika, który mógłby doznać *porażenia elektrycznego*; z tego też względu oczy jego zabezpieczone są podczas roboty przyrządem w kształcie ramy ze szkła kolorowego, opatrzonej rączką, którą on utrzymuje w lewej ręce, prawą zaś manipuluje ołówkiem węglowym.

Lutowanie elektryczne zastosowywać zaczęto z pomyślnym rezultatem przy budowie zbiorników metalowych, przy wyrobie skrzyń przeznaczonych do przewozu olejów, nafty i siarku węgla, przy fabrykacyi rur żelaznych i miedzianych, oraz przy wyrobie mebli lekkich, żelaznych, jak łóżek, ławek ogrodowych itp.

Lutowanie elektryczne stanowi w rezultacie proces prosty, praktyczny i wygodny, który winien znaleźć i znajdzie bezwątpienia szerokie zastosowanie.

Ogrzewanie elektrycznością. Towarzystwo oświetlenia elektrycznego w Berlinie, zawiadomiło swych abonentów, że dostarczać im będzie prądu elektrycznego do ogrzewania. Prąd ten wymierzanym będzie w tenże sam sposób i płaconym po tejże cenie, jak służący do oświetlenia.

Dla wszystkich publicznych i prywatnych mieszkań elektryczność, zastosowana do ich ogrzewania i użytku kuchni, będzie zaiste nieoszacowanem udogodnieniem.

Towarzystwo w tej mierze dostarcza swym klijentom specyalne przyrządy ogrzewawcze. Do zastosowania wody służy ogrzewacz z dwoma pokrywami, pomiędzy któremi pomieszczoną jest cewka oponowa. Ogrzewacz ten doprowadza do wrzenia 85 centylitrów wody wciągu 20 minut, opatrzony zaś jest 4 amperami i 100 elementami Wolty.

W teatrach, gdzie użytkowanie z gazu i lamp spirytusowych jest obecnie za granicą surowo wzbronionem, można będzie z wszelkiem bezpieczeństwam posługiwać się piecykami elektrycznymi.

Stal manganesowa. Nowa stal wyrabiana przez pp. Hatfield w zakładach ich w Sheffield, odróżnia się od dotychczasowych pod względem składu chemicznego, obecnością manganezu w stosunku 7 do 20%, odpowiednio do natury zastosowań, do jakich ją przeznaczono. Posiada ona własności elektryczne i tę osobliwość, że nie oddziaływają na nią magnesy.

Według doświadczeń p. Barretta profesora fizyki w królewskiem Kolegium nauk w Dublinie, stal ta jest 3,000 do 7,000 razy mniej magnetyczną od stali zwykłej i 330 razy mniej od żelaza miękkiego. Nowy ten produkt pozyska niewątpliwie szerokie zastosowanie w machinach dynamicznych i wszędzie, gdzie własności magnetyczne żelaza lub stali są szkodliwe, jak naprzykład w pudłach okrętowych, w kotwicach, łańcuchach itp.

Stal manganesowa przedstawia prócz tego potężny opór elektryczny, jest przytem twardą i wytrzymałą; hartowanie wywiera na nią wpływ odwrotny zwykłemu wpływowi tego procesu, odbiera jej bowiem twardość.

Nowy sposób posrebrzania zwierciadeł przemysł zawdzięczać będzie p. Bory.

Tafla szklanna, sposobem jego mająca się posrebrzyć, powinna być starannie oczyszczoną, następnie kładzie się ją horyzontalnie na stole pomieszczonym w temperaturze 25 do 30 stopni ciepła. Gdy temperatura jest słabszą, osad srebra metalicznego nie wytwarza się tak prędko

---

uczynił tedy, co mógł: wyhodował szerokie barki, duże ręce i stopy... kadłub zaś, pozostawiony własnej woli, nie zdążył za resztą ciała, więc zgiął się, skoszlawił... Naprożno kobiety radziły zapuścić kołtun — nic nie pomogło. Stary Maciej na parę lat przed śmiercią, ożenił go z córką byłego ciwuna — Łamowszczanką.

Drugi syn — Jurgis (Jerzy) — urósł należycie i do pracy był jak nikt we wsi; za to ani śmiał się, ani umiał pogawędzić z ludźmi — mruknie jak niedźwiedź i tyle...

Mała bieda! Niechby sobie milczał, gorzej to, że był jakiś durnowaty — byle dziecko mogło go oszukać. Bywało parobczak przyjdzie do niego w dziurawych butach i powie:

— Jurgis, *szust* *) buty!

— At! — mruknie i odwróci się.

Parobczak jak zacznie prosić, biedować, że nie ma za co kupić nowych — namówi: Jurgis weźmie od niego podarte buty, odda zaś dobre.

A żydówki z miasteczka, a kątnicy, wiele to od niego napożyczali i nie oddają—ani się upomni.

Czasami bratowa Grzegorzowa zacznie narzekać:

— Po co, Jurgis, krwawy grosz rozdajesz włóczęgom?

Ani słucha! albo powie: „a skąd oni wezmą?“ — i wyjdzie z chaty.

Nie dość tego: gdy jedzie do miasteczka, dzieci z całej wioski biegną za nim i krzyczą: „Dziadźko! przywieź obwarzanków.“ Niechby już komu! I tym *spohada* — przywozi: wszystkich obdzieli, aż śmiech, jak gdyby w samej rzeczy był ich dziadźką. I gdy dzieci skaczą z obwarzankami, on nie śmieje się, ale tak jakoś wesoło patrzy i mruczy: „Mażutiej *), durnilej.“

Najmłodsze dziecko Macieja Piktasa — Karusia przezwana była *sznopą*, bo włosy miała roztrzępione, jakby plast siana na wietrze — chowała się bez matki, któżby ją przygładził. Zresztą niczego dziewczyna: cicha, pracowita, a nawet niebrzydka; tylko zastraszona i lubi milczeć jak Jurgis.

Słowem, mówiono, że dzieci nie udały się Maciejowi — i nic dziwnego! Srogi był człowiek: wyrazu nie dawał powiedzieć nikomu, z dziećmi obchodził się jak ze szczeniakami — dziw, że ich nie pokaleczył!

Teraz nie wiadomo, coby się z niemi i stało, żeby nie Grzegorzowa. Sprytna kobieta! Całym domem rządzi. Czy wszyscy zadowoleni, trudno zgadnąć; lecz jej własne dwa chłopaki, Wincuk i Justek, swemi iskrzącemi się oczętami twierdzili, że nic nie mają przeciw temu.

II.

Pewnego niedzielnego poranka, jesienna mgła, powstająca z łożyska rzeki, ogarnęła całą wieś i zmieszana z dymem, co wydobywał się przez wszystkie szpary z wnętrza kurnych chat, utworzyła brudno-szarą chmurę, ścielącą się po dziedzińcach, gumniskach, cielętnikach i wygonach. Ludzie w tej mgle przybierali najdziwniejsze kształty: to urocze i olbrzymie, to znów potworne i koszlawe.

W takie dnie, nim się drwa należycie rozpalą, dym, wychodzący z pieca do izby, nie trzyma się równą warstwą w górze i przez otwór w ścianie lub suficie nie ulata pod strych i dalej na świat, lecz napełniając wnętrze izby od góry do dołu — gryzie oczy i dusi gardła.

Grzegorz Piktas położył się na ławie i okrył głowę kożuchem; dzieci przykucnęły u otwartych drzwi i czekały, rychło-li wiązki chrustu zapłoną jaśniej, a wówczas na samą myśl ślinka im biegła — matka nasmaruje patelnię sloniną, naleje z dzieżki ciasta i wstawi do pieca: słonina na żarzących się węglach zaskwierczy tak przyjemnie... przyjemnie... Potem matka uśmie-

*) Szust—przemiana na niewidzianego — kto kogo oszuka.

*) Mażutiej — maluczcy — (dziatwa).

i w ilości niedostatecznej, co naturalnie wpływa na ujemny rezultat operacyi.

Dla posrebrzenia powierzchni jednego metra kwadratowego przysposabia się dwa płyny następujące:

a) Wody dystylowanej 1 litr, winianu podwójnego potażu i sody 10 gramów. Sól tę utrzymuje się w rondelku emaliowanym z czwartą częścią litra wody, dodaje się do niej około 0,5 gr. azotanu srebra, poddaje następnie wrzeniu, dopóki całkiem nie roztworzy się, wtedy wlewa się resztę wody i przelewa mieszaninę do słoju filtrując.

b) Azotanu srebra stopionego 5 gramów, amoniaku czystego 3 gramy, wody dystylowanej 1 litr. Rozpuszcza się azotan srebra w amoniaku, mieszając, dopóki roztwór nie będzie zupełnym; dodaje się wtedy wody i wlewa do słoju filtrując. W chwili użycia zlewają się z sobą dwa te płyny i rozprowadzają na szkle dla zwilgocenia go, w ilości około 20 centymetrów sześciennych, a to za pośrednictwem skórki koźlej. Następnie dodaje się bezwłocznie całą pozostałość płynu, który również rozprowadza się na szkle. Po upływie 30 lub 40 minut, srebro strąconem zostaje w stanie metalicznym i przylega silnie do szkła; oddala się wówczas płyn, przechylając zwierciadło na bok, aby spłynął; zmywa się wreszcie szkło lekko gąbką i spłukuje niewielką ilością wody, przytem aby płyn ociekł, ustawia się zwierciadło pionowo, a gdy wyschnie, powleka je za pomocą pędzla warstwą werniksu.

Dla uniknienia plam i otrzymania dobrego podkładu, potrzeba używać wody dystylowanej. Płyny srebronośne, już użyte, powinny być oswobodzone od cząstek srebra, jakie w nich mogą być w zawieszeniu.

Jeżeli chodzi, aby posrebrzanie było więcej trwałem, potrzeba powtórzyć na zwierciadle też pewną operacyę. Narzędzia posługujące do posrebrzania powinny być zmywane wodą dystylowaną.

Szyny i czcionki drukarskie ze szkła. Szyn szklannych próbowano na drogach żelaznych amerykańskich z wybornym rezultatem, koszt wszakże ich wyrobienia jest o wiele wyższym od kosztu szyn stalowych i z tego względu nie mogą być korzystnemi obecnie w praktyce.

Czcionki drukarskie szklanne okazały niepospolitą wyższość nad metalowemi; wymiary ich muszą być jednak większe, gdyż szkło cienkie zbyt jest kruchem a więc niezdatnem do tego rodzaju fabrykacyi. Cena takich czcionek jest nieco wyższą od tej, jaka otrzymuje się dla metalowych, nie wiele to jednak znaczy, biorąc pod uwagę trwałość wyrobu. Prawdopodobnie też czcionki szklanne znajdą i w Europie niedługo zastosowanie.

Forsyt. Komitet artyleryi w Petersburgu badał niedawno nową materyę wybuchową wynalazku Johna Lewina, nazwaną przez tegoż *forsytem*. Składa się ona z mieszaniny żelatyny z nitrogliceryną i innymi przetworami wybuchowymi, co ją odróżnia od zwykłych dynamitów nasyconych nitrogliceryną.

Najenergiczniejszym typem forsytu jest złożony z 54 do 72% nitrogliceryny i z 30 lub 20% prochu.

Jak widzimy, przyrządzenie forsytu przypomina żelatynę eksplozyjną Nobla, z dodatkiem rozmaitych mieszaniu wybuchowych dla pozyskania produktu ekonomicznego.

Forsyt używanym jest głównie w Stanach Zjednoczonych, gdzie wydrążają otwory minowe jaknajgłębsze, napełniane najtańszemi ciałami wybuchowemi.

Najpotężniejszej siły forsyt pozyskują tam, rozpuszczając nitrocelulozę w nitroglicerynie.

Wszystkie gatunki forsytu są w dotknięciu miękkie, najsłabsze z nich przedstawiają zarazem największą twardość.

Pud forsytu kosztuje obecnie w Petersburgu około 25 rubli.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

II.

Rozumie się, że i strona artystyczna utworów Kraszewskiego nie może się przedstawiać jednolicie. Jest to niby płyta malachitu, nierówno ogładzona, a nakrapiana plamkami i żyłkami przeróżnych prądów i wpływów. I tu pojawiają się zmiany, początkowo na lepsze, ku schyłkowi życia na gorsze. Lecz dziwić się temu zjawisku, ani gorszyć niem nie można. Ktokolwiek nawet pobieżnie obznajomiony jest z tajemnicami twórczości artystycznej, ten snadno sam sobie odpowie, że podniesienie wartości prac Kraszewskiego nastąpiło wtedy, gdy do talentu przyłączyła się wprawa, nabyta długoletniem tworzeniem, a oddająca artyście tak wielkie przysługi, jak w każdym innym zawodzie. Oczytanie i głębsza obserwacya społeczeństwa dokonały reszty.

W pierwszym okresie góruje, jak wiemy już, zamiłowanie powszedniości, wstręt do deklamacyjnego przedstawiania uczuć, stąd pobieżne zbywanie intrygi miłosnej, stąd przeplatanie „scen poważnych trywialnie-komicznemi.“ Kompozycya choruje na brak perspektywy; „wszystkie osoby wchodzące do powieści są traktowane jednakowo: niema tu wyróżnienia głównych od podrzędnych; chyba to jedno, że osoba główna częściej się zjawia na scenie, chociaż przez to nic na wybitności nie zyskuje.“ Pisarz mało dba o całość utworu, o zogniskowanie intrygi, o rozwój charakterów. Nowością atoli było dokładne odmalowanie zewnętrznych kształtów miejsc, a mianowicie budynków, placów, oraz sylwetek ludzi. Opis ten jest nieraz suchy, lecz w każdym razie odznacza się dokładnością i szczegółowością. Jest to dowodem nadzwyczajnego rozwinięcia „zmysłu plastycznego,“ który tak rzadko zdarzał się u dawniejszych naszych powieściopisarzów, a który u młodego Kraszewskiego występował tak jawnie, choć w formie jeszcze bardzo pierwotnej.“

Później już, w *Panu Karolu*, pojawia się „większa dbałość o pewny ciąg w opowiadaniu; sentencye i wszelkiego rodzaju uwagi, które dawniej zajmowały dużo miejsca, znikły prawie zupełnie tak, że mamy przed sobą postacie objektywnie przedstawione w *rozmowie* najczęściej, rzadziej w działaniu, bez żadnych autorskich rekomendacyj. Jako najważniejszego środka sprawienia efektu używa Kr. kontrastu, którego poprzednio śladu nawet nie było.“ Tu należą utwory o barwach jaskrawych, pełne realizmu w traktowaniu stosunków towarzyskich. „Poezyi nie było tam prawie zupełnie. Panowała wszędzie proza, nieraz bardzo trywialna; tragiczne sytuacye nawet (ojciec obłąkany, niepoznający syna) zostały umieszczone na takim poziomie, że uczucia grozy nie budzą; istniała tam jednak siła, brutalna wprawdzie często, ale zawsze siła.“

Ważnym nader objawem „w rozwoju maniery artystycznej i usposobienia powieściopisarza“ jest „wprowadzanie nowego żywiołu, głęboko lirycznego, do malowanych przez siebie obrazów.“ „Żywiołem tym jest rzewność, tęsknota, prześlicznie odtworzona we wspomnieniach młodego Czuryły (*Zygmuntowskie czasy*).“ Następuje więc pewna równowaga artystyczna, pewna harmonia między światłem i cieniami, między łagodnym liryzmem a dziką burzą smutku, boleści, rozpaczy, ironii i sarkazmu.

---

chnie się i powie: „pierwszy blin temu, kto rano wstaje“ — i da im po wielkim oladku, tłustym, aż po brodzie pociecze. Chłopcy połknęli ślinę.

Nastała wreszcie długo oczekiwana chwila. Ogrzany dym, jakby przewrócona powierzchnia sadzawki, falował zlekka pod sufitem i ulatał po troszę na strych. Chłopcy usiedli na przypiecku. Grzegorz wysunął głowę z pod kożucha i odetchnął. Grzegorzowa to stawiała patelnię do pieca, to smarowała ją słoniną, a w przerwach poprawiała chustkę na głowie, łajała dzieci i łopatką miesiła ciasto.

— Przyszedłbyś ta bliżej, co masz leżeć— rzekła do męża.

Grzegorz podniósł się z ławy, zgięty we dwoje, przeszedł izbę i usiadł na zydelku u przypiecka.

— Pogadałbyś dziś ze starostą o tym papierze.

— A i pogadam.

— Tylkoż nie tak byle bąknąć: zaproś go do karczmy, a ja pociągnę i samą — tak po sąsiedzku niby — tam i pogadamy.

Grzegorz opuścił głowę i zamyślił się. Po chwili rzekł:

— Żeby to ludzie nie gadali, że Jurgisowi krzywda...

— Co tam ludzie! Jak będzie nasze — to będzie.

— Ot, bo widzisz— rzekł po chwili Grzegorz — Jurgis nie ożeni się nigdy; żeby żył ojciec, toby go ożenił i koniec; sam nie zbierze się. Zresztą, jakaby tam za niego i poszła: tak czy siak, jego część zostanie dla naszych chłopców.

— Nie ożeni się! — przerwała gniewnie gospodyni — skąd ty wiesz?! Gospodarska córka może i nie pójdzie, a jakaś kątnica sama narzuci się: jak będzie zrobione — to już będzie.

— Może on jeszcze i nie zgodzi się?

— Co tam nie zgodzi się! Gadałam we czwartek: Jurgis — powiadam — a czemu nie ożenisz się?

— Cóż on?

— Na co to mnie? — powiada — koszulę mnie i Karusia wypierze i acani. Już to prawda — mówię — ale możeby lepiej było...

— Cóż on?

— „At — powiada — jaka tam za mnie pójdzie.“ Mówię tedy: możebyś Jurgis zapisał swoją część gruntu naszym dzieciom? „Co tam pisać — powiada — i tak ich będzie.“ Już co prawda, to prawda, mówię, ale dla matki toby było spokojniej i pewniej.

— Cóż on?

— Kiedy acani tak chcesz — powiada — to pomyślę... tylko Karusi nie skrzywdźcie.

— A ty co?

— Pocóż ją krzywdzić — mówię jemu — ona równa siostra dla Grzegorza, jak i dla waćpana; jak zdarzy się dobry człek, i krowę damy i owieczkę, a może i źrebak się znajdzie. Wstyd byłoby z naszego domu byle jak wypuścić.

Drzwi w sieni skrzypnęły; Grzegorzowa zamilkła. Po chwili wszedł Jurgis z Karusią. Stanął u pieca, potrzymał ręce przed płomieniem, odszedł i usiadł na ławie. Karusia tupotała przy piecu.

Grzegorzowa zapytała:

— Czy chłodno?

— Mgła aż przez skórę przesiąka — rzekła dziewczyna.

— Cóż tak długo podawaliście bydłu? Chyba nie było przygotowanej trzęsianki?

— A nie było: Jurgis późno powrócił z lasu, a ja mełłam na bliny; tak i zostało.

— Siadajcie do stołu — przekąście i chłód przejdzie. To mówiąc, Grzegorzowa nakrajała słoniny, wrzuciła w mały garnuszek i postawiła na węgle; gdy tłustość stopniała, zaniosła misę z blinami i garnuszek z tłustością na stół. Chłopaki pierwsi rzucili się do jadła, za nimi pociągnęli starsi.

(D. c. n.).

Brolis.

Między latami 1850—1863 porzuca Kr. „dawniejszy sposób szkicowego przedstawienia ludzi i rzeczy, rozwijając szeroko stronę opisową i charakterystykę.“ Umie on „wybrać rysy prawdziwie ważne i znamienne, nadać kolorytowi ciepło, opisom barwność i świetność niezrównaną, charakterystyce trafność, dowcip, urok stylu.“ Po roku zaś 1860 „na mocy prawa psychologicznego o względnej sile wrażeń i nałogów, wraca Kraszewski do tego szkicowego traktowania charakterów i scen, jakie charakteryzowało jego utwory przed r. 1850; długie opisy, szczegółowe określenia postaci nikną, osobistości przesuwają się przed oczyma czytelnika jak sylwetki.“ Jedna dodatnia różnica „polega na odmiennej barwie i na większej obfitości wypadków.“ Zwolna „wobec jaskrawo publicystycznego pojmowania celu powieści, strona jej artystyczna musiała pójść w zaniedbanie,“ bo autorowi „idzie przedewszystkiem o myśli, o szerzenie „prawd sumienia“ (własnego), aniżeli o kompozycyę i styl.“ Stąd układ powieści stał się bardzo luźnym, „a wątek opowiadania, lubo nieraz bardzo urozmaicony i ciekawość podsycający, nie był rozsnuwany spokojnie, z rozmysłem artystycznym, ale urywkowo, z pewną niecierpliwą gorączkowością.“ Wprawdzie utwory człowieka, który umysł swój coraz nowemi zasilał wrażeniami, zawierały „dużo świeżości i powabu, dużo scen świetnych i nowych; tylko że nie są one obmyślane i przeprowadzone należycie, nie sprawiają więc tego artystycznego skutku, jakiegoby się po sile i naturze użytych nowych pierwiastków spodziewać było można. Przytem strona psychologiczna traktowana jest przez artystę bardzo powierzchownie.“

W końcu pojawia się nacisk na przedmiotowość w tworzeniu artystycznem; znika nastrój sentymentalnej trochę tęsknoty, a na jej miejsce występuje łagodna ironia, „uśmiechająca się pobłażliwie z wyżyn uspokojonego, do pewnej równowagi przyprowadzonego poglądu na zabiegi i starania ludzkie, poczytywane przez interesowanych za bardzo ważne, a przez autora za błahe, a nawet dziecinne.“ O powieściach, pisanych w więzieniu, powiedzieć można, że znać na nich „zgorączkowanie, pośpiech prawie chorobliwy w malowaniu scen i charakterów, powtarzanie motywów, jakby przez zapomnienie.“ Nicią przewodnią, ciągnącą się przez cały jego zawód powieściopisarski, jest niewielkie uzdolnienie do zawiązania i prowadzenia akcyi. Umie on wybornie „kreślić sytuacye, zazwyczaj działając drobnymi rysami i małemi scenkami,“ „związać atoli dobrze te sytuacye, skupić umiejętnie rozproszone środki artystyczne, nie było już dla niego rzeczą łatwą.“

Nim przystąpimy do określenia stylu Kraszewskiego, musimy zwrócić uwagę, że namiętnością zasadniczą tego pisarza, na mocy której zdołamy wytłomaczyć prawie wszystkie znamiona jego twórczości, jest niepowstrzymany pociąg do pisania. Stąd głównie nie jakość, ale ilość produkcyi umysłowej ma u niego znaczenie; stąd nie dba on o wykończenie, o formę utworu, pisze tak, jak mu myśli do głowy napływają i często jeszcze niezaschnięty rękopis posyła do druku. Dlatego też w stylu jego nie znajdziemy artyzmu. Gładki i czyta się przyjemnie, lecz wyrażeń błyszczących, porównań wspaniałych, przenośni świetnych, blasku i wykwintności nie znajdziesz tam zupełnie. Kraszewski wyrobiwszy sobie łatwość pióra, pisząc pospiesznie, zwał taki ozdobny styl zbytkiem, na który mogą sobie pozwolić tylko narody od nas bogatsze. Posiadał jednak dość obfity zapas słownikowy, „posługiwał się nim z niepospolitą biegłością, zawsze jasność i trafność wyrażenia na pierwszym mając względzie.“

W galeryi stworzonych przez Kraszewskiego postaci „mało wspaniałych, imponujących posągów z marmuru,“ lecz za to „nieprzejrzany las nadzwyczaj charakterystycznych i żywych figur z terakoty, wychylających się ku nam z uśmiechem, tęsknotą łzą, marsowym nastrojem, zadumą, smutkiem, jowialnym żartem, sarkazmem, bólem serdecznym, rozpaczą — w najprzeróżniejszych kombinacyach, które nieraz zaledwie odczuć, a nie określić się dają.“ Zola w swym znanym cyklu chce skreślić historyę życia społecznego Francyi za czasów drugiego cesarstwa, Kraszewski z mniejszą zapewne, niżeli on, samowiedzą dał nam obraz prawie całego kraju w różnych epokach rozwoju. Naprzód zwrócił się ku mieszczanom, opisywał małe miasteczka, unikając szlachty i wielkich stolic. Występują wtedy burmistrze, doktorowie, aptekarze, księża, organiści, poczmajstrowie, traktyernicy, piekarze, szewcy, krawcy, szynkarze, kapitaliści. W powieściach historycznych bohaterom dziejowym ściąga z czoła nimb złoty, upleciony przez tradycyę, zdejmuje im koturn i każe jak zwykłym śmiertelnikom stąpać po ziemi. Na pierwszy plan wysuwa królewskie kochanki, czeredę głupich medyków, tłum przebiegłych jezuitów, plotkarskie sługi i kłótliwych magnatów. „Szlachetnych lub mądrych osób niema w tych powieściach prawie wcale; przed oczyma naszemi przewijają się głupcy, skąpcy, pijacy, waryaci, zbrodniarze, a co najmniej jeszcze samoluby.“ W sferze szlacheckiej odnajdywał cechy zupełnie podobne; egoizm i zimna, bezduszna etykieta, stanowią znamię jego wielkich panów. Potem idą liczne typy jednostek, wyposażonych duchem wrażliwym i artystycznym, uciemiężonych chłopów, niesumiennych dziedziców, mieszkańców wielkiego miasta, pędzących życie dość zepsute, rzemieślników, zbogaconych kupców, pragnących przemienić się w obywateli ziemskich, ekonomów, rządców, plenipotentów, cyganów, żyjących bez jutra, księży złych i dobrych — słowem niema klasy, niema wieku, niema zawodu, któryby nie znalazł swych przedstawicieli w olbrzymiej spuściznie literackiej Kraszewskiego. Bohaterzy jego, początkowo źli i śmieszni, zwolna nabierają przymiotów dodatnich, nadto pod koniec życia autora wysuwają się z wrodzonej im słabości i marzycielstwa, a orlemi skrzydłami zdają się podążać ku doskonałości, nabierają energii, hartu i woli. Jedynie tylko na kobiety nie zbyt łaskawym był Kraszewski. Oto zrazu uważa je „za istoty wogóle bardzo słabe i łatwe do uwiedzenia,“ potem stara się rysować sylwetki jasne, lecz wychodzą one prawie zawsze blado i łzawo. Kobieta Kraszewskiego, to zazwyczaj szych złocisty po wierzchu, a wewnątrz szara glina. I to zjawisko można objaśnić zamiłowaniem „złotego środka,“ który nie znosi wielkich namiętności, przetwarzających się czy w bezgraniczne poświęcenie, czy też w ohydną zbrodnię.

Chmielowski twierdzi, że „temperatura uczuć naszych jest przeważnie umiarkowaną.“ Kraszewski tedy, wielbiciel poglądów pojednawczych, we wszystkich swych właściwościach podobnym był do typu przeciętnego polaka. Głównie przeto wytrwałą pracowitością odróżniał się od szarego tła ogółu i wzbił się na takie wyżyny, że nie prędko u jego boku stanie równy mu towarzysz.

A. N.

BOLESŁAW CZERWIEŃSKI.

(Wspomnienie obowiązku).

Smutnem było życie tego poety, smutnym los tego Prometeusza, przykutego okowami ciężkich trudów do zimnej skały obowiązku. Dzieje te, spisane piórem, nieobwiniętem bawełną obłudy i konwenansu, a roztoczone na tle ruchu społecznego i literackiego w Galicyi, mogą stanowić dowód jaskrawy, że nawet wielki talent musi zmarnieć, jeżeli znajdzie się w otoczeniu nieodpowiedniem, jeżeli cuchnące wyziewy trzęsawiska, w którem z konieczności musi grzęznąć, oszołomią i sprowadzą go na bezdroża. Nadto opowiedzą, że nawet gorącymi płomieniami buchające natchnienia wyczerpią się wreszcie, zagasną, gdy im na pomoc nie przybieżą nieustająca nauka, ciągłe przyswajanie sobie najnowszych wyników i zdobyczy wiedzy, a nakoniec systematyczna obserwacya ludzi i świata.

Naprzód więc przyjrzyjmy się otoczeniu.

Lwów oddawna aż do drugiej połowy naszego wieku przedstawiał dziwną mieszaninę narodowości. I tutaj, jak wszędzie w Polsce, jądro mieszczaństwa stanowili niegdyś sprowadzeni niemcy. Około nich grupowali się polacy, rusini, wołosi, ormianie i żydzi. Te dwa ostatnie żywioły przeważały liczebnie, a ślady ich wpływów do dnia dzisiejszego istnieją i biją żywem tętnem. Wytworzyła się więc pewna mieszanina kosmopolityczna, dbająca niemal wyłącznie o pomyślny rozwój interesów handlowych, a prawie zawsze obojętna dla spraw szerszego znaczenia, obchodzących cały ogół. Owa obojętność naturalnie rozciągała się również na wszystko, co wkracza w dziedzinę sztuk pięknych lub literatury. Z biegiem czasu coraz to większe chmury gromadziły się ponad miastem. Bezmyślna biurokracya austryacka postępowaniem swem do reszty wysysała z niego wszelkie soki żywotne. W takich warunkach o pomyślnym rozwoju literatury mowy być nie mogło. Jutrzenka różowych nadziei zabłysła dopiero po wojnie włoskiej, z początkiem szóstego lat dziesiątka.

Jan Dobrzański, który w *Dzienniku literackim* przez rok niejeden użyczał schronienia zdolniejszym piórom literackim w Galicyi, przerzucił się do wydawnictwa organów politycznych, a jego *Gazeta narodowa*, umiejętnie, zręcznie, jakkolwiek niezbyt konsekwentnie redagowana, długi czas sterowała opinią publiczną w Galicyi. Była to epoka krystalizowania się wszelkich instytucyj politycznych i społecznych w Austryi. Nowość bawiła i ciągnęła różnobarwnym blaskiem umysły, gorączka polityczna opanowała nerwy. Oddziaływała ona zabójczo na inne objawy życia społecznego, a szczególniej na literaturę. Poeta, powieściopisarz z musu chwytał się dziennikarstwa. Umysłom starszym atoli trudno już było nagiąć się do nowych wymagań. Zręczny wydawca chętnie więc witał siły młode, niezużyte, zapalne, piszące z ogniem, bo wierzące w to, co piszą. Przygarniał je do siebie, otwierał gościnne podwoje swej gazety, dawał zajęcie, lecz nieraz, często nawet niewłaściwem zużytkowaniem niszczył je, nużył, wyciskał jak cytryny.

Bractwo literackie, a raczej dziennikarskie, może dlatego, iż rozumiało klęskę mu grożącą, a zarazem nie mogło usunąć się z pod ręki gniotącego ich despoty, wpadało często w rozpacz, w zwątpienie. Taki stan prowadzi umysły wrażliwe, artystyczne do innej, większej klęski. Wiemy dobrze, co się kryło pod nazwą cyganeryi artystycznej, która nałamała niby burza tyle wybitnych talentów w Warszawie między rokiem 1840 a 1850. To samo zupełnie zjawisko powtórzyło się i na bruku lwowskim. Mówmy otwarcie. Zagnieździło się tu życie bez rachuby i ładu, z dnia na dzień. Pisano dorywczo, byle zbyć robotę niemiłą, a często wstrętną, wszystkie zaś bóle, wszystkie troski i wszystkie dochody tonęły w piwie i w kieliszkach koniaku. O dalszem kształceniu się, o czytaniu dzieł poważnych nie myślano. Nic dziwnego tedy, że nawet tak olbrzymio uzdolniony człowiek, jak Lam, złamał się, uległ naciskowi, zmarniał.

Powyższa charakterystyka to również ogólne kontury działalności Czerwieńskiego. Wcześnie zaprzągnięty przez „króla Jana“ w jarzmo żmudnej pracy dziennikarskiej, w spadku zostawił niewielką garść

poezyj, wydanych we Lwowie (1881), dramat, osnuty na tle historyi starożytnego Rzymu p. t. *Niewolnik*, kilka nowel, mnóstwo recenzyj tak literackich, jak i teatralnych.

W utworach poetyckich dźwięki haseł romantycznych mieszają się z głosem współczucia dla biednych i nieszczęśliwych. Miłosnych wykrzykników, łzawych kwileń nie znajdziesz tam wcale. Poeta brzydzi się pokazywać całemu światu serce skrwawione rzeczywistą lub urojoną strzałą skrzydlatego Amora. Ponad osobiste bóle i samolubne cierpienia stoją u niego wyżej łzy lub radosny uśmiech ogółu. Wiersze więc jego, pisane językiem czystym, podniosłym, w którym obok zapału, ognia, oburzenia i gniewu często brzęczy nuta ironii, nastrojem swym są pokrewne utworom Konopnickiej. Wiersz *W szynkowni* mimowoli przypomina obrazek poetki p. n. *W sobotni wieczór*, choć siłą i dramatycznością treści pozostawia za sobą w tyle utwór nieco miękkiego, kobiecego pióra.

Po wyjściu z *Gazety narodowej* chciał Czerwieński własny zbudować sobie przybytek; do współki więc z Bolesławem Spaustą, drugim a wymownym okazem *zmarnowanych*, założył tygodnik literacki p. n. *Ziarno*. *Ziarnu* temu przecież nie dano pełnym kłosem wybujać ponad ziemię; padło ono na opokę twardą i nieurodzajną, to też nie zeszło i zasmuciło gorliwych siewców.

Zwolna, pod wpływem szczęśliwszych okoliczności, literacki światek lwowski pozbył się swych nałogów, spoważniał, wziął się gorliwiej do pracy. I Czerwieński uległ temu pomyślnemu prądowi. Odwrócił się od polityki, która zmarnowała najpiękniejsze lata jego twórczości, a w nowozałożonem piśmie humorystycznem p. n. *Śmigus* dowcipnymi wierszykami karcił przeważnie wady naszego charakteru narodowego i skrzywione pojęcia społeczne. Objął również obowiązki odpowiedzialnego redaktora *Kuryera lwowskiego*, dziennika o barwie ściśle demokratycznej. Tu poczuł się poeta w swym żywiole. Niebawem stał się prawą ręką zaszczytnie znanego kierownika *Kuryera*, Henryka Rewakowicza. Prócz tego dzielnem swem piórem, które do coraz wyższego i swobodniejszego zrywało się lotu, zasilał jedyny obecnie we Lwowie dwutygodnik literacki p. n. *Ruch*.

Wszystko to więc zapowiadało jaknajpiękniejszą przyszłość. Spodziewali się liczni wielbiciele jego talentu, że niebawem stworzy dzieło większe, które zapewniłoby imieniu jego zaszczytną kartę w dziejach naszej literatury. Wtem piorun, który z pogodnego wypadł nieba, rozerwał jak pajęczą siatkę marzenia i poety i jego przyjaciół. Nic przepędza się bezkarnie lat długich w życiu pełnem niedostatku, utkanem z porywów niespełnionych, z niezaspokojonych gniewów, z żalów słusznych, a serce krwawiących, z nocy bezsennych a spędzanych na hulance, z pracy ciężkiej i pospiesznej. Płaci się za to sercem; na serce też skonał w dniu 3 kwietnia b. r. Bolesław Czerwieński, w młodym jeszcze wieku, bo żył lat zaledwie 37.

N.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, w kwietniu.

Międzynarodowa wystawa sztuk pięknych.

Otwierając wystawę sztuki belgijskiej w zabudowaniu drewnianem, połączonem z Künstlerhausem, skompletował komitet międzynarodową wystawę sztuk pięknych, urządzoną w Wiedniu z powodu czterdziestej rocznicy panowania cesarza Franciszka Józefa I. Obecnie tedy objąć można okiem całość, która, jeśli nie daje nam istotnego obrazu stanu sztuk plastycznych w Europie, to, bądź co bądź, zgromadziła w gościnnych murach stolicy naddunajskiej imponującą ilość rzeźb i malowideł mistrzów głośniejszych.

Pomiędzy poważnym frontem Akademii handlowej a przepysznie ozdobioną fasadą Konserwatoryum muzycznego, wznosi się Küustlerhaus; jest to budynek jednopiętrowy, w stylu odrodzenia greckiego z przymieszkami architektury nowożytnej. Wnętrze jego cechuje przedewszystkiem przejrzysty rozkład sal, mieszczących w sobie przedmioty wystawowe, tak, iż każdy bez trudności oryentuje się w 32 salach parterowych, oraz w 11 pokojach pierwszego piętra.

Daremnie oglądamy się za osobną wystawą sztuki naszej. Naliczyliśmy trzydziestu artystów polskich i pięćdziesiąt przeszło dzieł po części nowych, po części znanych nam z Krakowa. Ilościowo nie starczyłoby to na otwarcie osobnej wystawy, że zaś o nią nie postarano się, tem bardziej żałować wypada, iż jakościowo płótna polskie stoją w pierwszym rzędzie. Świeżo też mamy w pamięci okazałe zbiory wystawy krakowskiej; gdyby komitet energiczny wysłał był wybór historycznego i współczesnego jej działu wprost do Wiednia, sztuka polska, której dzieła w Krakowie mało widziało obcych, byłaby święciła prawdziwy tryumf wobec Europy, gdyż tchnie w przeważnej ilości swych utworów ową wielkością, której brak uderza w zbiorach sztuki innych krajów. Ale mimo iż prace polskie rozsiane są po kilkunastu salach, ostały się wobec krytyki europejskiej. Ranzoni, cieszący się największą w Wiedniu powagą, gorącymi wyrazy podnosił piękność Matejkowskiej „Pieśni" (zakupionej przez arcyksięcia Rudolfa), „Robaczków świętojańskich" Siemiradzkiego, „Bitwy pod Grochowem" Kossaka, oraz „Piotra wskrzeszającego" — Mańkowskiego. Do najpiękniejszych dzieł polskich, odbijających korzystnie od pstrego malarstwa rodzajowego i krajobrazowego, rozwielmożniającego się na wystawie wiedeńskiej, należy „Głowa Chrystusa" Gersona, Trębacza „Miłosierny Samarytanin," Loefflera „Przerwane zaręczyny," a głównie Horowitza „Portret ks. Sapieżyny" i „Nowonarodzone" — obrazy, umieszczone w oddziale węgierskim, gromadzące zawsze gęste kółko widzów, przez krytyków i publiczność zaliczane, niestety, do sztuki węgierskiej. Horowitz, jak poucza katalog, urodził się w Kossowie na Węgrzech; ażeby jednak uważał się za artystę węgierskiego, tego przy dawniejszych sposobnościach nie zaznaczył (mieszka stale w Warszawie). Z rzeźb polskich najudatniej przedstawia się Wójtowicza „Tezeusz z głową Meduzy."

Zaniedbanie międzynarodowej wystawy wiedeńskiej było, bądź co bądź, lekkomyślnością ze strony artystów polskich, którzy w kraju nie mają dostatecznego odbytu dla swych utworów; niedbalstwo to powinno być naprawione na wystawie międzynarodowej w Paryżu — następnego roku.

Przechodząc do sztuki innych narodów, zaznaczyć musimy, o czem już na wstępie wspominaliśmy, że byłoby niesprawiedliwem oceniać stan ich miarą zbiorów tu umieszczonych. Zbiory te, wyjąwszy może jeden oddział węgierski, urządzane są bez systemu, nie było to „pospolite ruszenie" artystów każdej narodowości, nie okazano dzieł najcenniejszych, ale najłatwiejsze chwilowo do przeniesienia. Miasto więc na podstawie plonu w Künstlerhausie skreślać ryzykowną charakterystykę sztuki pojedynczych narodów, wolę z tego morza piękna narodowego wyłowić perły i opisać je wam. Niestety, i o tych „perłach," których opisami zapełniano fejletony dzienników wiedeńskich i zagranicznych, z góry przewidzieć trzeba, że nie należą one do zakresu sztuki wielkiej, że brak im tej najwyższej powagi piękna, którą grecy nazywali „ethos," a która już malowidła Polygnota czyniła dla widzów źródłem prawdziwie idealnego pobudzania ducha.

W oddziale malarstwa austryackiego odniosła palmę zwycięztwa „Ninetta" Eugeniusza Blaasa z Wenecyi. Jest to tryumf wdzięku kobiecego nad prozą i szpetotą ubóstwa i pracy. Na stopniach wiodących do szarawej wody, oparta o marmur stary, brudny, poszarpany, stanęła młoda praczka wenecyańska, w dziurawej, niebieskiej spódniczce, w staniczku żółtym, łatanym inną materyą; blondynka o krętych włosach, o rozmarzonych oczach włoszki, uśmiechnęła się — i naraz pięknemi nam zdają się i te schody brudne i ten strój połatany i szafliczek z bielizną, stojący za Ninettą.

W rzeźbie z artystów austryackich najokazalej wystąpili czesi. Grupa Myslbeka „Lumir i pieśń," wykonana w kolosalnych rozmiarach na moście Palackiego w Pradze, przedstawia wieszcza słowiańskiego z lirą grecką w ręku, prowadzonego przez drobną postać kobiecą, wyobrażającą pieśń. Ruch Lumira, ozdobionego wieńcem wawrzynowym, pomyślany w stylu prawdziwie plastycznym; pieśń tylko niekoniecznie fortunnie występuje w postaci dziecka.

Dwie przestrone sale parterowe, zwane „międzynarodowemi," mieszczą dzieła artystów wszystkich prawie krajów europejskich, nadesłane po zamknięciu wystaw specyalnych. Tu uderza nas przedewszystkiem Herkommera portret panny Grant, córki prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Panna Grant, dzięki prześlicznemu portretowi artysty, podbiła sobie serca całej Ameryki i Europy, pokonała najsurowsze powagi krytyczne obu lądów i życzyć by jej tylko wypadało, ażeby portret ten nie był — idealizowanym. Za wiernością jego przemawia dziwna naturalność każdego szczegółu anatomicznego, wybitna indywidualność, przebijająca się w oku żywem, rozpalonem siłą kwitnącego organizmu i pracą ruchliwego widocznie umysłu. Ta postać jasna, w białej sukni, od białawego tła odbijająca dziwną energią życia, jedyna wychodzi zwycięzko z natłoku wrażeń, cisnących się coraz nowemi tęczami barw, coraz nowym wirem postaci.

Zajmującym jest fantastyczny obraz Hirszla „Zbawienie Ahaswera." Temat prawie tak potężny, jak rozkucie więzów Prometeusza, przeprowadzony jednak bez majestatu kompozycyi, bez głębokiej myśli porywającej, przekonywającej widza. Po ruinach miasta, dawniej wspaniałymi sterczącego budynkami, szkielet-śmierć wiedzie pochylonego ku ziemi, zgrzybiałego Ahaswera. Widać po tej postaci, załamanej w kolanach, po twarzy przymierającej, że ogarnia ją zwolna śmierć, śmierć rozkoszna, tak długo wyczekiwana. Ale niedojrzała technika młodego malarza zniewoliła go do nakreślenia postaci tak drobnych, że potęga przedmiotu rozwinąć się i działać nie może. Ażeby być potężnym w figurach kilkunastocalowych, na to potrzeba mistrza pierwszorzędnego.

W oddziale międzynarodowym warto też oglądać „Judasza," obraz Prella, przedstawiający scenę, kiedy Judasza kuszą do zdrady; niemniej kolosalne płótno hiszpańskiego malarza Ulpiano „Napad barbarzyńców." Przed frontem opuszczonej świątyni rzymskiej galopują na dzikich koniach najezdcy, napełniając powietrze kurzem i wrzawą. Malarz pochwycił i oddał całą grozę wrogiego wtargnięcia dzikich wojowników.

Rzeźby są przeważnie portretami, niewznoszącymi się ponad tuzinkowość. Dwie wielkich rozmiarów figury — „Feden" Schmidgrubera i Dulla „Fabius Maximus Cunctator," obie w marmurze, są studyami w czysto akademickim stylu.

Nie bez korzyści rozglądać się można po sali belgijskiej. Na pierwszy rzut oka uderza nas tu wzorowa czystość i staranność

roboty, cechująca zarówno płótna wielkie, jak drobne. Potężne wrażenie wywiera Lalainga postać jeźdzca. Jest to sędziwy oficer, który konno dowodzi oddziałem wojska. Mundur nowoczesny nie zmniejsza starożytnej niemal siły tej postaci. Uwagi godnym jest też utwór De Vriendta „Paweł III przed obrazem Lutra.“ Postać papieża zajmuje indywidualną charakterystyką, odbiegającą od szablonu obrazów historycznych. Zresztą zaś i belgijczycy zdobyli się jedynie na krajobrazy, które gęstym chwastem pokrywają ściany wystawy jubileuszowej. Verwiego „Krowy przed burzą“ wzorowane są na klasycznych płótnach mistrzów holenderskich. Z rzeźb belgijskich zasługuje na wzmiankę biust robotnika, wykonany przez De Groota; energia, pracowitość, stanowczość i niezawisłość przemawiają z tego oblicza z dziwną żywością. Biust ten uzyskał złoty medal.

Dużo przestrzeni zajęli niemcy. Wielkie ich płótna prawie bez wyjątku poświęcone są krajobrazom i scenom rodzajowym, które tylko jeden Defregger uprawiać umie z talentem uwagi godnym. Wyżej wznosi się u nich poziom talentu i intuicyi artystycznej w zakresie portretów. „Bismark“ Lenbacha, to człowiek indywidualny, na którym widnieją ślady pracy gabinetowej w postaci o zbezkształconych proporcyach, ślady chorób trawiących go—w cerze i układzie twarzy; a jednak jest to zarazem postać historyczna, ożywiona doniosłą siłą walki. Niemniejsze zalety posiada portret Mommsena, wykonany przez Ludwika Knauza. Drobny ten obraz ukazuje całą postać uczonego w pracowni. Twarz, sposobem uczonych niemieckich wygolona, otoczona gęstymi puklami srebrzystych włosów, przykuwa nas niewygasłym, pałającym ogniem ciemnych źrenic.

Młodszego Kaulbacha portret przedstawia młodą kobietę w pozie znanej „lutnistki“; jest to obraz misternie malowany, jednak powtórzenie użytego motywu niemile dotyka.

O rzeźbach niemieckich ogólnego sądu wydać niepodobna: tak znaczna zachodzi różnica pomiędzy kompozycyami bohaterskiemi a plastyką mitologiczno - kobiecą niemców. Podczas gdy niedołężnie modelowana „Psyche“ Reuscha, niemniej „Psyche“ Eberleina miasto bogini greckiej o klasycznej piękności i swobodnej nagości, wyobrażają krępe podlotki młynarskie, o grubych niemieckich rysach twarzy, wstydzące się, że je rozebrano, to już wielka grupa Uphnesa (Sabinczyk broniący siostry uciekającej przed rzymianami) okazuje dokładną znajomość niespożytych prawideł kompozycyjnych sztuki greckiej, a zarazem zrozumienie dla plastycznego wyrazu uczuć. Begaza „Iskra elektryczna“ (całus) grupa symboliczna nie całkiem zrozumiała, skomponowana z dziką nieco fantazyą, ale modelowana po mistrzowsku, a bardziej jeszcze Locka „Spartacus,“ ranny, przywiązany do pnia dębowego, reprezentują rzeźbę niemiecką okazale.

Oddział węgierski należy do najstaranniej zestawionych. Żywioł narodowy okazują tu liczne obrazy rodzajowe, wyobrażające wnętrze gospody, bandy cygańskie itp. Dwa mistrzowskie portrety, „Liszt“ Munkacsego i „Tisza“ Benczura, przyciągają znawców, podczas gdy „Ilka Palmay“ (aktorka peszteńska), jako model w pracowni rzeźbiarza Strobla, stanowi główną przynętę oddziału węgierskiego dla szerokiej publiczności. Vastagha „Portret damy modnej“ okazuje pędzel wyrobiony, o rzadkiej sile kolorytu, który z pożytkiem imać by się mógł tematów poważnych.

Słowo jeszcze o dekoracyi wystawy. Użyto niemało zieleni: w sali międzynarodowej biusty otoczone są roślinami. Jednak nie zauważyliśmy nigdzie owego wytwornego, prawdziwie artystycznego smaku, który przedsionek i pierwszą salę wystawy krakowskiej przemienił był w ogród europejski, a rzeźbom udzielił tła przepięknego. Wieczorem oświetlenie elektryczne funkcyonuje wzorowo. O włochach, norwegczykach i hiszpanach, którzy bardzo słaby wzięli udział w wystawie jubileuszowej, wspomnę przy sposobności.

A. Stwosz.

TEATR.

Don José Echegaray: *Galeotto*, dramat w 3 aktach, tłom. z hiszpańskiego przez Jana Kleczyńskiego. — Clairville i Gastineau: *Ernest*, komedya w 1 akcie z francuskiego.

Na końcu piątej pieśni *Piekła* Dantejskiego znajduje się słynne z piękności opowiadanie cienia Franciszki o występnym i nieszczęśliwym romansie jej z Pawłem z Rimini, zakończonym śmiercią obojga. Surowy duch poety w tem jednem może tylko miejscu zdobył się na litość, graniczącą z płaczem, tak, iż „zbladł śmiertelnie i padł z rozrzewnienia jak trup“—albowiem Franciszka była córką Gwidona z Polenty, któremu sam na wygnaniu niejedno dobro zawdzięczał. Zakochanej parze „służyli za kuplera: książka i ten, co ją napisał“ (*Wiersz 137*), czyli opowieść o przygodach Lancelota i autor jej, Krystyan z Troyes. Bohaterowie zaś tej książki również zawdzięczali swój grzeszek kuplerstwu — jeno już nie książki, ale Galeotta, który Lancelota i piękną Ginevrę, żonę króla Artura, namówił do przypięcia temu ostatniemu rogów. Za czasów Danta *Galeotto* stał się imieniem pospolitem dla stręczycieli i pośredników w schadzkach miłosnych.

Tego to Galeotta wygrzebał dramaturg hiszpański z *Boskiej komedyi* (albo raczej z komentarzy do niej, gdyż sam Dante o rajfurze ledwie że wspomina), tylko dał mu formy bardziej niepochwytne, oderwane, przedstawiając nie jako człowieka lub rozpalającą krew lekturę w czułem sam na sam, lecz jakieś *fatum*, w postaci pogłoski, plotki sługębnej, która upatrzywszy sobie ludzi, dobrych na ofiary potwarzy i bohaterów skandalu, tak długo krąży nad nimi hałaśliwem i posępnem skrzydłem — aż wtrąci w przepaść nieszczęścia, aż skusi do odegrania prawdziwej, na scenie życia, tragedyi.

Tak stało się właśnie z osobistościami dramatu Echegaraya. Niemłody, pełen szlachetności przemysłowiec, Andrea Girolamo (p. Ładnowski), ożeniony z kobietą piękną i znacznie młodszą (p. Marcello), gości u siebie poetę marzyciela Ernesta Alessandri (p. Tatarkiewicz), z którym łączą go związki przyjaźni i wdzięczności dla ojca poety. Niebezpieczeństwo i drażliwość pobytu pod jednym dachem dwojga ludzi, różnych płcią a jednakowych wiekiem, nastrojem i upodobaniami, dały pochop całemu światu do krzywdzących domysłów i posądzeń, które z czasem tak się wzmagają, iż zaczynają grozić dobrej sławie domu. Strwożony brat Andrei z połowicą swą i synem (p. Grzywiński, p. Niewiarowska i p. Nowicki), sami zresztą wzorowi plotkarze i „nasi najserdeczniejsi,“ tak długo pastwią się nad obmawianą trójcą, iż Ernest dla ocalenia wspólnego honoru raz gotów jest opuścić gościnne progi druha, a raz nawet rozłącza się z nim i zamierza uciec daleko, ale Andrea zapanowywa dwukrotnie nad kiełkującem w jego wnętrzu podejrzeniem i zażegnywa rozłąkę. Fatum jednak nie próżnuje. Poeta posłyszał przypadkiem w cukierni obelżywe drwiny z cnoty swojej przyjaciołki, którą szanował i wielbił, ale z którą stosunek jego był czysty i od uczuć, niepożądanych dla spokoju domowego — wolny. Spoliczkował w szlachetnem uniesieniu oszczercę i został wyzwany na pojedynek. Spotkanie ma nastąpić nad mieszkaniem kawalerskiem Ernesta. Przedtem jeszcze dowiaduje się o niem obrażony mąż i postanawia sam bronić swej czci, a zaraz potem wbiega do mieszkania poety Julia, błagając, by nie dopuścił krwawej rozprawy. Ten zbieg okoliczności przyszedł ze skuteczną pomocą niewidzialnemu Galeottowi. Młoda kobieta, usłyszawszy pukanie do drzwi, które tak nieopatrznie przeszła — musi się ukrywać w alkowie Ernesta, ażeby bytności u niego nie zrozumiano fałszywie. Na nieszczęście przybyszem był Andrea, śmiertelnie raniony przed chwilą, a teraz niesiony przez lekarza i świadków. Dla umierającego potrzeba łóżka na gwałt, a tu w sypialni siedzi ukryta i zakwefiona jego małżonka. Toczy się rozpaczliwa walka między Ernestem a przybyszami; chory zgaduje z przerażeniem przyczynę oporu tak niegościnnego, a w tej samej chwili wybiega mu naprzeciw zdecydowana na wszystko Julia. Słowa jej usprawiedliwienia zagłusza straszliwy okrzyk rozpaczy. Andrea teraz uwierzył w winę swej żony.

Ale potężny Galeotto zesłał na wszystkich jeszcze jeden grom. Gdy ranny dogorywa na własnem już łożu, przekląwszy żonę i wiarołomnego przyjaciela — ten przychodzi do jego domu, ażeby rozplątać fatalne powikłanie wypadków; domownicy zastają go w chwili, gdy na klęczkach prosi Julię o przebaczenie za zło, którego stał się mimowolnym sprawcą, i żegna się z nią. Jadowite języki mają więc świeży pokarm. Oburzenie krewnych przechodzi w wściekłość, a niewinnie skazana kobieta staje się już dla nich wprost bezczelną. Wszyscy pewni, że o ścianę od konającego męczennika widzą ohydne gruchanie zbrodniczych zalotników, aż i on sam, usłyszawszy zdala nienawistne głosy, zwleka się z pościeli i zjawia pijany bólem i szalejący z gorączki, ażeby przed śmiercią nasycić wzrok widokiem swoich zabójców. Głuchy jest na ich przysięgi i tłomaczenia i ostatnim wysilkiem podstępnie przyciąga ku sobie, ażeby ją powalić w proch, a jego napiętnować hańbą.

Szczęście zatem trzech jednostek, trzech charakterów podniosłych i wzajem się szanujących zostało okrutnie zdruzgotane. Na tem jednak nie koniec. Tak długo krakano wrzekomym winowajcom o miłości, że wreszcie ją wykrakano — grunt był dostatecznie przygotowany; niedostrzeżony i może bezsilny całkiem pączek wystrzelił wspaniałym kwiatem. Sam los połączył ich wspólną dolą sieroctwa i wygnania po za społeczeństwo „moralne“ i „uczciwe.“ Odchodzą, rzuciwszy światu wzgardę i zwalając nań winę wszystkich klęsk swoich i umarłego Andrei.

Ta miłość wykwitająca z śmierci, ten wyrok potępienia, wydany wielogłowej hydrze przez osamotnioną i wyższą duchowo parę ludzi, mają w sobie dużo posępnej poezyi i całą sztukę opromieniają jej blaskiem. I gdyby wrażenie to dodatnie rozlać można było na akty i sceny poprzednie, *Galeotto* wydawałby się piękną, z jednej sztuki czarnego marmuru wyciosaną rzeźbą cmentarną. Gdyby cały dramat był jedną z owych żałobnych legend włoskich, w które obfitują tameczne miasta, a których bohaterami są Wiktorya Acorombona, Francesca z Rimini, Beatrix Cenci — opowiedzianą przedmiotowo i plastycznie — efekt byłby potężny, ale że Echegaray miał na celu pewną tendencyę, więc mu *Tendenzbär* zepsuł wszystko, pokruszył ów marmur w drobne odłamy, z sobą nieklejące się. Szło mu snać o skargę na owo fatum nowszych czasów, zwane plotkarstwem i pragnął je napiętnować równie silnie, jak Sofokles, Eschylos i Eurypides *Przeznaczenie* kosmiczne, jak Szekspir i Schiller — fatalność w konsekwencyach natury ludzkiej. Ale tak marnemu dla prawdziwie wyższych umysłów samozwańcowi, jak opinia—to zaszczyt zbyt wielki. Prawodawca to dla szarej masy, ale nie dla tych, co się nad nią wybijają. Można uwierzyć, że złe języki mogą po-

swarzyć kochające się stadło; ale czy potrafią kiedykolwiek skojarzyć z sobą ludzi, którzy słuchają jeno doboru naturalnego — to rzecz wątpliwa. Najwyżej zdziałać mogą to, co dosyć zręcznie opowiedział bezimienny autor rok temu, w jednym z dzienników, w gawędzie dyalogowanej p. t. *Płoteczka*. Utwór ten — choć to może krzywdzi głośne imię hiszpańskiego pisarza — zadziwiająco myślą swą przewodnią przypomina *Galeotta*.

Rzecz prosta, iż mimo dobrych chęci i oryginalnego pomysłu, Echegaray nie zdołał natchnąć opinii, czyli tajemniczego kuplera Galeotta tą siłą dramatyczną. To, co miało wypłynąć z fatalizmu, było następstwem niedołężnych temperamentów i obrzydliwie, po francusku ułożonych wypadków. Andrea wygląda jak istny mazgaj i łazęga, skoro nie słucha własnego rozsądku, doradzającego rozstanie się z Ernestem. To wpada w zazdrość, to ją odrzuca daleko od siebie, ale nie z siłą i logiką Otella, lecz z szybkością i niemocą gołowąsa. Skąd się u niego wzięło potem tyle wściekłości i grozy, kiedy z początku śmieszy swą chwiejnością? A główną sprężyną akcyi jest niespodzianka w domu Ernesta, do której trzeba było z pół tuzina naciąganych sytuacyj: pojedynku w mieszkaniu nad pokojem poety, jednoczesnego przybycia Julii i zranienia jej męża itd. Dalej znów chwytanie przypuszczalnego uwodziciela na gorącym uczynku klęczenia przed Julią. Do licha—nawet aniołowie byliby więcej przezornymi, nawet eunuchowa niewinność takiej nieświadomości nie wytłomaczyłaby! Nie — takimi środkami poetyczno-scenicznymi nie posługują się dramaturgowie z bożej łaski...

Słowem wypadki i charaktery nakręcone zostały bezlitośnie. Autor ani razu nie daje przyjść do słowa Ernestowi, w mowę jego wlewa dziwną jakąś flegmę, westchnienia i jęki, gdy chodzi o odparcie zarzutów Andrei, a ogień rycerski i tempo południowca, gdy chodzi o rzeczy mniej ważne. Widz uczuwa przez to jakieś zniecierpliwienie i zmęczenie, bo rozumie, że w świecie realnym musiałoby ze strony posądzonych nastąpić jakieś energiczniejsze wyjaśnienie — a tu odbywa się ono połowicznie, niezdarnie, byleby doprowadzić do ostateczności.

Możnaby nie dodawać wcale uwagi, którą każdy musi sobie w duchu czynić, że Galeotto tak bardzo nie błądził w swych posądzeniach, że sama bliskość bohaterów była im najlepszym stręczycielem Galeottem. Prądy magnetyczne działałyby i same przez się, może tylko trochę później, a prawdopodobieństwo tak było wielkie, że pomimo jawnego zarzekania się miłości, nikt na chwilę ani autorowi ani platonicznym przyjaciołom nie wierzy; nie uwierzyli nawet aktorzy, gdyż i panna Marcello i p. Tatarkiewicz mimowoli odrazu przybrali ton i postawę zdawna w sobie rozmiłowanych—jest to organiczny błąd sztuki, że chcąc nie chcąc muszą wykroczyć przeciw intencyi autora.

Przy całej wadliwości swej budowy *Galeotto* zajmuje słuchacza. Drga w nim nerw hiszpański a objawia się w owej dzikości, z jaką Andrea urąga mniemanym wiarołomcom, dzikości rannego tygrysa, czysto rasowej i niewytępionej przez wysoki szczebel towarzyski, w zaciekłości, z jaką toczą się pojedynki, w namiętnem szamotaniu się Ernesta z bratem Andrei, gdy ten ubliżyć chce bratowej. Wszystko uprzytomnia kraj miłości i sztyletów, o tyle, o ile pozwala na to gruba warstwa cywilizacyi i ogłady bohaterów. Z artystów p. Ładnowski w miarę odtworzył wymagane tętno gry, p. Marcello przesadziła je, jak zresztą zawsze, zbyt szafując prężeniem figury i niemożliwie ruchliwą grą fizyognomii; trochę tego dobrego mniej a całość wykonania, obfitująca w silne i szczorze dramatyczne momenty zyskałaby niezmiernie; zaś p. Tatarkiewicz trzymał się poniżej równi potrzebnego w tym razie temperamentu — był zbyt miękim i pognębionym, zbyt banalnie pojmując cechy „marzyciela“ ze szkodą dla kolorytu rasowego sztuki. Reszta ról nie nastręczała pola do popisu.

Galeotowi, bądź co bądź wytwornej robocie scenicznej, dają towarzystwo *Ernesta*, fraszki wielce zabawnej ale niegardzącej efektami cyrkowymi, jak półgodzinne wykręcanie ucha lokajowi, chowanie kapeluszy i czapek pod fotele i krzesła. Podobnie jak i wszystkie tego rodzaju „komedye“ zasadza się na jednem długiem *qui pro quo*, wynikającem stąd, że młodą parę mocno się kochającą, wkrótce po ślubie chcą gwałtem dla jakichś tam urojeń i podejrzeń rozseparować. *Ona* przyjmuje więc *jego* u siebie potajemnie i ugaszcza śniadaniem we dwoje — a że świeżo przyjęty lokaj, specyalista od służenia u dam z półświatka, ma ją za kokotę, więc wszystkich mężczyzn przychodzących: męża, wuja i przyjaciela uważa za zwyczajnych „gości,“ jednego przed drugim ukrywa, wszystkich podsłuchuje, bezwiednie wprowadza w błąd — słowem wytwarzają się niemożliwe kombinacye, których rozplątać i objaśnić nie potrafiłby nikt, a ułożyć można było tylko połączonemi siłami dwóch farsistów. Sam pomysł jest bardzo *mauvais genre*, ale postać lokaja, który w gruncie rzeczy, pomimo błazeńskiej szarży autorów, jest typem — stanowi źródło humoru i z werwą niemałą wyzyskuje je p. Szymanowski. Paniom Lüde i Barszczewskiej, panom Rapackiemu, Leszczyńskiemu i Wolskiemu, słowem śmietance sceny naszej — powierzono role, które z łatwością dźwigać mogliby artyści trzeciorzędni.

Cezary Jel.

POEZYA.

PSALMY ŻYDOWSKIE.

I.

Chcę być polakiem — daję słowo!
Lecz nie pomoże tutaj spryt,
Polskości we mnie uznać nie chcą,
Zawsze wołają: „Jesteś żyd!“
Gdy przed potwarzą bronię żydów,
Gdy im wywalczam jakiś byt;
Słyszę zazwyczaj szmer na boku:
„Ach, co to musi być za żyd!“
Kiedy znów chłoszczę wady żydów,
Mówiąc, że winni uczuć wstyd,
Zaraz ktoś szepnie: „Antisemita?
Ach, to z pewnością także żyd!“
Gdy zganię czasem polski narów,
Lub katolicki zranię myt,
Wołają z wstrętem: „to mi polak!
To przecież najzwyklejszy żyd!“
Gdy wielbię ludzkie ideały,
Na pruskie rugi wydam zgrzyt,
Rzekną: „On inną ma religię,
To nie jest polak, ale żyd!“
Idę do księdza, chrzest przyjmuję,
Bo już mi los ten marny zbrzydł,
Krzyczą: „On przecie z innej rasy,
To nie jest polak, ale żyd!“
Więc wciąż mnie zwątpień trapi hydra,
Wciąż mi zatruwa smutny byt,
Żem ani pies ja, ani wydra,
Żem coś dziwnego — nakształt świdra,
Żydowski polak, polski żyd!..

II.

Wiem, jak rozwiązać kwestyę żydowską,
Co sprawia tyle frasunku:
Wywieszać wszystkich, chrześcian lub żydów;
Innego niema ratunku.

Lecz — choć to węzeł trudny przecina—
Bez wielu wywodów długich,
Nie można krzywdzić żadnej religii:
Wywieszać jednych i drugich!
A jeśli koniec to zbyt tragiczny,
Z innym wystąpię wyrokiem:
Rzućcie Mojżesza, rzućcie Chrystusa,
Ja będę wspólnym prorokiem.

III.

„Obywatelem polskim — żyd
Nie może być— ach, wierzcie!“—
Kupiłem dom i jestem dziś
Obywatelem nareszcie.

IV.

Jednego tylko znałem żyda,
Który uznania był blisko:
Nikt mu nie przeczył nazwy: polak;
Nosił „Polaka“ nazwisko!..

V.

Antisemito! w oczach opinii
Szlachcicem pragnąłbyś zostać?!
Próżno wskazujesz wąs zawiesisty
I twoją brzuchatą postać...

Nic nie pomogą lica słowiańskie
I pomiatanie żydami:
Pierwszej szlachectwa brak ci zasady!
Gardzisz... własnymi przodkami.

VI.

Wypadek serce wroga rozczulił,
Nauczył braterstwa śpiewek:
Jafet wraz z Semem płacze nad zgonem
Czterech żydówek z Nalewek!

Nieba! niedawno wszystkim semitom
Jad by darował w podziele...
Czy on czasami nie płacze tego,
Że cztery — to tak niewiele?!..

VII.

„Nie żyj, jak Heine, nie pisz, jak Heine!“
W końcu, z początku, ze środka
Tak głosi, cny biografie Heinego,
Biograficzna twa plotka!
Celu twych przestróg prędzej dosięgnę,
Innego chwyciwszy się środka:
„Nie żyj, jak Heine, nie pisz, jak Heine,
Bo taki biograf cię spotka!“

L. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Uliczne zajście. — Wrażliwość naszej opinii. — Niepotrzebne zgryzoty. — W duchu czasu. — Jeszcze raz ujawniona potrzeba sądów honorowych. — Płotek dla p. Ochorowicza. — Jego oporność na poddawanie myślowe. — Wymeldowanie do Paryża. — Kartki filozoficzne. — Słuszna odpowiedź. — Dwa konkursy. — Nowy talent.

Chociaż jesteśmy „francuzami północy,“ opinia nasza nie lubi pewnych ostrych przypraw życia, w których smakują francuzi. Tak np. nie podobają nam się w prasie ani grube wymysły, ani najcieńsze kije. Jeżeli jakiś dziennik paryzki napisze, że p. Ferry jest gwałcicielem, mordercą, złodziejem, oszustem itp., to dowiedzie tylko— przez jednych ganionego, przez innych chwalonego—„temperamentu.“ U nas „temperament“ literacki nie posiada ani tych granic, ani tej swobody. Za nazwanie autorki „romantyczką“ można być pozwanym do sądu, a za ochrzczenie czyjegoś utworu niedorzecznym — trzeba przyjąć pojedynek (na szczęście — śród naszych mścicieli honoru dość nieszkodliwy). Skutkiem tego pisma, używające dosadnego słownika, otrzymują patent „karczem,“ do których chłop z żydem zajeżdżają, ale panowie wtedy tylko wstępują, gdy „porządnych“ restauracyi po drodze nie spotkają. W tych „porządnych“ restauracyach są „osobne gabinety,“ w których dzieją się rzeczy,

o jakich żadna karczma nie śniła; ale wygląd zewnętrzny utrzymuje pozory przyzwoitości. Ta wrażliwość nerwów naszej opinii, zaostrzana przytem bardzo szlachetną pobudką, która każe nam dźwigać krzyż z godnością, została nieprzyjemnie dotknięta zajściem między pp. Żmurką i Sygietyńskim. Pierwszy namalował obraz, drugi napisał o nim krytykę, a z tego wynikły: listy obelżywe, ustne pogróżki, wymysły, walka uliczna, wreszcie wyjaśnienia w *Kuryerach* (dokończenie nastąpi). Nie rozstrzygam tego sporu, zwłaszcza że w nim nie mógłbym stanąć ani po jednej, ani po drugiej stronie; pragnę tylko rozjątrzonej skandalem opinii zrobić dwie uwagi. Pierwszą jest ta, że jeśli bitwy uliczne są złe, my w nich nie tworzymy pierwszego szeregu. Tłuką się niemcy, francuzi, włosi, anglicy — a tłuką się lepiej i częściej. My pod tym względem nawet stanowimy szary koniec, nie potrzebujemy więc wpadać w zgrozę, gdy dwu ludzi, którzy powinni by rozprawić się szlachetniej, zawinęli rękawy do boksowania lub skrzyżowali swoje kije. Kijowanie, policzki u naszych mistrzów-francuzów należą do tak zwykłych rozrywek, że *Figaro* paryzki musi smutnie zasypiać tego dnia, w którym nie mógł donieść, że jakiś mąż, znany telegrafowi europejskiemu, nie omłócił innego męża równej sławy. Zresztą w epoce militaryzmu są to objawy całkiem naturalne i usprawiedliwione. Wytrzeszczyłby na mnie oczy nowoczesny Homer, gdybym mu radził napisać rapsod bohaterski z wątku walki pp. Sygietyńskiego i Żmurki. Gdyby jednakże ci zapaśnicy zamiast kijów wzięli do rąk szpady lub pałasze, już opinia widziałaby w nich „rycerzy honoru,“ a gdyby obaj stanęli na czele licznych zastępów (bodaj „band“ malarzy), umundurowanych, uzbrojonych w karabiny, armaty itd. — współczesny Homer nastroiłby swą lirę do podniosłej pieśni. A jednakże w gruncie rzeczy mianownik moralny tych starć byłby wspólny. Gdy ks. Bismark mówi: jeżeli Francya obrazi Niemcy, rozpoczniemy z nią wojnę— znaczy to w przekładzie na stosunki jednostkowe, jak gdyby niemiec pogroził: jeśli mnie francuz obrazi, dostanie kijem. Kij stalowy różni się od drewnianego siłą i skutecznością, ale sprężyna moralna obu jedna. Słowem — nie rozpaczajmy: ani bijatyki są u nas najczęstsze, ani z duchem czasu niezgodne.

Ale, niewątpliwie są niepożądane i przypominają potrzebę ustanowienia sądów honorowych. Tylko takie sądy zapobiegną walkom na kije drewniane i stalowe, na pięście i lufy. Jeżeli ktoś napisze książkę lub namaluje obraz, inny go za to złaje, obrażony zwróci się po sprawiedliwość do laski lub pistoletu — z tych ogniw związe się łańcuch wybuchów dzikich. Ale jeżeli pokrzywdzony malarz lub autor odwoła się do sądu honorowego, zarówno on może otrzymać należyte zadośćuczynienie, jak ogół odniesie korzyść moralną. Bo jego opinia, hartowana takimi wyrokami, nabierze mocy i wpływu, będzie istotnym regulatorem czynów ludzkich. Chociaż wierzę w różnorodność gustów, nie przypuszczam, ażeby komukolwiek większe zadowolenie sprawiał odwet wykonany własną pięścią, niż potępienie wyrzeczone przez ludzi rozumnych, uczciwych i bezstronnych. O ile więc zatarg pojedynczy, bijatyka Pawła z Gawłem jest wypadkiem maleńkiej wagi, o tyle suma tych wypadków, jako materyał społeczny, wskazujący konieczność i użyteczność istnienia dla nich poważnej moralnej instancyi, jest sprawą bardzo doniosłą. Mamy kilkadziesiąt pism, w tych pismach kilkuset pracowników, którzy wzajemnie względem siebie i względem innych znaleźć się mogą w najdrażliwszych stosunkach — i nie pomyśleliśmy dotąd o takim trybunale? Dziwna obojętność śród ludzi, roszczących pretensyę do najwyższego pokładu inteligencyi. Także się z nich śmieją adwokaci, lekarze, nawet rzemieślnicy! Przyznać trzeba, że przed paru laty zalecano utworzenie syndykatu literackiego, ale na tak humorystycznych zasadach, że on prześliznął się z szybkością konceptu i utonął w niepamięci. Należałoby sam pomysł wydobyć i rozumem natchnąć. A może lepsze kije, szpady i pistolety, a gdy te zawiodą — sąd państwowy? Wolna wola, panowie bracia.

Wreszcie zaczęto p. Ochorowiczowi grodzić płotek na drodze, na której zdobywa wątpliwą sławę znachorską i niewątpliwe a sowicie za nie płacone ruble. Według *Gazety warszawskiej* szpital św. Ducha, przekonawszy się, że „metoda“ śmiałego... hypnotyzera nietylko nie pomaga chorym, lecz owszem szkodzi, poprosił go o przerwanie dalszych doświadczeń. Należało to zrobić wcześniej, a nadto ostrzedz publiczność przed zdradną wędką. P. Ochorowicz zaś, jeżeli nie ma zamiaru płynąć po złote runo pod wodę i wiatr, powinienby przybić na drzwiach swego mieszkania kartkę, że syt zarobku zakończył swą cudotwórczą działalność. Inaczej trzeba będzie sądzić, że głoszone przez niego „poddawanie myślowe“ jest farsą. Z wielu stron bowiem już „poddano mu myśl,“ że prowadzi rzemiosło nic wspólnego z nauką niemające, a on dotąd opiera się tej „suggestyi“ i okazuje taką bezwrażliwość, jakiej nigdy nie spodziewaliśmy się po byłym pozytywiście. Dowody, obciążające zarzutami jego „metodę,“ zgromadziły się w takiej liczbie, że nakazują mu raczej ratować siebie, niż innych. Mniejsza bowiem o to, że dziś nikt rozsądny w leczenie p. Ochorowicza nie wierzy, ale — co gorsza — stracił on u nas zupełnie kredyt naukowy i nie odzyska go nigdy, jeśli nie zmieni do gruntu swych „badań,“ mianowicie jeżeli nie złoży dowodów, że mu istotnie chodzi o naukę, a nie o kieszeń. Po tych zapewnieniach, jakie bez skrupułu dawał i tych rezultatach, jakie w porażce osiągnął, można słusznie podejrzywać prawdę jego opisów i twierdzeń. Dalekim jest ode mnie zamiar bezwzględnego zaprzeczania leczniczych wpływów magnetyzmu; ale nie zbada ich i nie określi p. Ochorowicz, bo nie ma lub mieć nie chce pojęcia o sumienności naukowej, a trwały grunt wiedzy, dziedzinę faktów pewnych rozszerza bagniskiem znachorstwa i podwyższa rusztowaniem blagi. Zapuszczanie włoku magnetycznego w naszą niewyszlamowaną sadzawkę umysłową i łowienie naiwnych ryb jest przemysłem tak dalekim od nauki, że możemy bez żalu dobrodziejstwa tej „metody“ odstąpić Paryżowi. Tam p. Ochorowicz nauczył się hypnotyzmu, tam odnosił główne tryumfy doświadczeń, tam obszerne do nich pole, dlaczegóż więc tam nie miałby przenieść swej praktyki? Będziemy z radością wsłuchiwali się w nadpływające z Francyi echa sławy genialnego doktora od wszelkich chorób, będziemy zdaleka posyłali oklaski, tylko niech szan. magnetyzer pozostawi nas medycynie i co najprędzej uważa się za wymeldowanego do Paryża.

Nie jest to zapewne dziełem przypadku, że w porze, kiedy w zodyaku warszawskim zaświecił p. Ochorowicz, pojawiły się „kartky prawdziwego, *filozoficznego* opisu natury i miesięcy,“ tłoczone w drukarni M. Dębskiej a sprzedawane prostaczkom jako nieomylne rady i wróżby. W jednej z nich, przeznaczonej na sierpień i wrzesień, czytamy, że panna urodzona w tych miesiącach, jest „miernego wzrostu, słabej konstytucyi, nizkiego czoła i małego nosa; w 20 roku niech idzie za mąż; w średnim wieku najlepiej jej szczęścić się będzie, chytra, kawalerów ma wielu potajemnych... Jeżeli przeżyje rok 26, to do 83 starości dojdzie; w piersiach wiele ucierpi bólu i na głowę ciężko zachoruje, ile że jest natury wodnistej i często będzie miała zakłócenie, gdzie się urodziła... W czwartek niech się w nową suknię nie ubiera, gdyż jej to zaszkodzić może i na katar by zachorowała.“ W innym czasie wezwałbym do czujności prasę, ażeby ostrzegła lud miejski przed głupotą i wyzyskiem; dziś jednak nie mogę tego uczynić, bo wydawca „Planety“ odrzekłby słusznie:

— Piorunujecie na moje „kartki filozoficzne,“ a czemże są lepsze blaszki, paski i kartki waszego doktora filozofii, którym wierzycie? Ja radzę pannie sierpniowo-wrześniowej, ażeby „łóżko nogami a bydło rogami obracała w stronę południa, wschodu i zachodu,“ co nikomu nie zaszkodzi; a wasz magnetyzer z dyplomem naukowym leczy kulawiznę gestykulacyą i dręczy chorych w szpitalach. Pamiętajcie o sobie...

Na rozumowanie to nie miałbym odpowiedzi.

W tygodniu ubiegłym, oprócz nieszczęśliwego turnieju p. Ochorowicza, osądzono dwa konkursy: jeden na nazwę teatrzyku ogródkowego, dla którego z *400* pomysłów przez szacunek i miłość ku językowi polskiemu wybrano *Vaudeville* (o małpi patryotyzmie!), drugi zaś w *Kuryerze warszawskim* — na powieść. Tu drugą nagrodę otrzymała panna Marya Rodziewicz za utwór p. t. *Dewajtis*, uwieńczona już raz na konkursie *Świtu*. O ile z poprzedniej i początku obecnej pracy wnosić można, p. R. jest talentem. Gdy rodzi się u nas nowy talent, żałuję że nie mam armat lub dzwonów dla ogłoszenia światu radosnej nowiny. Chciałbym ten żal uczuć po przeczytaniu *Dewajtisa*.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nasze chmielarstwo. — Projekt nowego muzeum. — Nadzieje p. Jankowskiego. — Co pilniejsze? — Fabryka przetworów owocowych w Kazimierzu. — Nowe rozporządzenie kolei Nadwiślańskiej. — Skutki skrytości w charakterze chłopa. — Dobroczyńcy.

W ostatnich dniach zaszedł wypadek, który wart jest zapisania złotemi literami w kronice naszych zwycięztw ekonomicznych. Na posiedzeniach delegacyi chmielarskiej uchwalono *jednogłośnie* zawiązać udziałowe Towarzystwo chmielarskie. Już sam fakt *uchwalenia* jest bardzo pocieszającym. Dowodzi on bowiem, iż długoletnie osłupienie nasze zaczyna przemijać. Patrzyliśmy spokojnie, aż przemysł chmielarski całkiem dostał się w ręce cudzoziemców. Robią też oni świetne interesy, drwiąc z naszej niemoty i zadziwienia. W roku zeszłym właściciele obcokrajowych sortowni płacili przeciętnie za pud chmielu krajowego tylko 12—15 rs., póżniej, po dokonaniu „niezbędnych a tanich manipulacyj,“ sprzedawali po rs. 25—38. Nie było to tajnem żadnemu z tutejszych wytwórców; wiedzieli oni też i wiedzą dobrze, że chmiel nasz od najdawniejszych czasów szedł za granicę, gdzie zwykle ukrywano staranie jego pochodzenie. Nie pobudziła nawet i ta okoliczność, iż ów produkt z Rohatyna w Galicyi (hr. L. Krasińskiego) na wystawie powszechnej w Paryżu 1876 r. otrzymał pierwszą nagrodę. Nadto, od dawna wiedziano, że umiarkowany klimat naszego kraju dodatnio wpływa na rozwój chmielarstwa. Pomimo to wyczekaliśmy cierpliwie tej chwili, aż trzeba będzie z potem i wysiłkiem wydzierać obcym cenną zdobycz. Zważywszy to wszystko, nie dziwcie się czytelnicy, że samo tylko uchwalenie *jednozgodne* chcę zaliczyć do zwycięztw ekonomicznych. Zanim się doczekamy bohaterów czynnych na tem polu, zobaczmy, jak się przedstawia spółka. Będzie ona przedewszystkiem przemysłowo - handlową, na pierwszym planie stawia rzetelne prowadzenie interesu. Płacąc wytwórcom „słuszną“

cenę za chmiel, będzie mogła — jak zapewnia delegat — ciągnąć jeszcze znaczne korzyści dla siebie, a więc przedstawia dobre umieszczenie kapitałów w udziałach. Fundusz zakładowy oznaczono na 300,000 rs., działalność swą wszakże przedsiębiorstwo wówczas rozpocznie, gdy zbierze 100,000 rs. Zadaniem Towarzystwa jest podniesienie opinii chmielu krajowego wobec zagranicy, a zatem ułatwienie jego zbytu obcym. Warto, aby instytucya będąca na dobrej drodze, kuła żelazo póki gorące, bo u nas ono prędko wystyga. Podobno udziały tak płyną, że już niewiele brakuje do dopełnienia sumy niezbędnej — 100,000 rs.

Inny zapewne obrót weźmie Muzeum ogrodnicze. Nieodpowiednią porę (rzadko, co prawda, jest ona inną) wybrał p. Edmund Jankowski dla ogłoszenia swego projektu. Bardzo piękny jego cel naukowy, ale taki zakład dziś u nas, wobec ważnych wielu innych potrzeb, jest zbytkiem za kosztownym na nasze dziurawe kieszenie. Sam projektodawca powiada, że na założenie muzem potrzeba trzech rzeczy: 1) funduszu, 2) pomieszczenia, 3) kustosza, któryby przedmiotowi temu oddał się z zamiłowaniem. Dla otrzymania pierwszego przymawia się do kasy Towarzystwa ogrodniczego na początek. „Reszty dopełni czas i ofiarność ludzka.“ Mieszkanie będzie wtedy, gdy instytucya posiędzie własny ogród i dom. „Codziennie niemal czytamy o zapisach na różne cele — czemużby coś podobnego nie mogło się trafić Towarzystwu“— dodaje p. J. Zapewne podobne myśli miewa każdy nędzarz, posiadacz ósmej lub szesnastej części ćwiartki losu loteryjnego: dwa razy do roku wychodzi główna wygrana; dlaczegoż by miała nie paść kiedyś na jego numer? Życzę p. Jankowskiemu lepszego szczęścia, niż tym graczom, ale zarazem pozwolę zrobić uwagę: zanim Muzeum ogrodnicze przyjdzie do skutku, czy nie wypadałoby pomyśleć, co u nas w kierunku praktycznym zrobiono dotychczas na polu ogrodnictwa? Dla możnych jest ono zabawką estetyczną, dla średnio zamożnych i ubogich — niczem. Tu i owdzie znajdzie się amator, czytający specyalne pismo i podręczniki, wprowadza u siebie według nowych wymagań ulepszenia po dyletancku. Większość obywateli, posiadających ogrody, woli się trzymać rutyny odwiecznej, fachowych wychowańców pogrzebanej szkoły boi się jak ognia. To też ci kandydaci do rozwijania zaniedbanej gałęzi gospodarstwa rozpierzchli się po kraju, szukając dla siebie zajęcia jaknajbardziej oddalonego od ogrodnictwa. Kilkanaście ogrodniczych szkółek wiejskich w kraju przyniosłoby więcej korzyści, niż muzeum, którego zbiory długo jeszcze mogą leżeć bez krzywdy w szafach.

Nie ujmuję zasług organowi p. Jankowskiego i Towarzystwu ogrodniczemu: zrobiły one wiele w stosunku do swych szczupłych środków. Nie wiem, czy to te instytucye, czy też inny jaki bodziec wpłynęły na założenie w roku zeszłym fabryki przetworów owocowych w Kazimierzu. Była to zrazu tylko próba nieśmiała. Dziś już zakład otrzymuje mnóstwo zamówień z najodleglejszych krańców państwa, a nawet z zagranicy. Kierownik, p. Kulakowski, zachęcony powodzeniem, rozszerza budynki i ma zamiar zakupywać wszelkie owoce w okolicy. Może to dodatnio wpłynie na rozwój ogrodów, ocalając je od rabunkowej gospodarki długopolych dzierżawców.

Tego rodzaju gospodarka zrobiła już to, że ogromne przestrzenie naszego kraju świecą pniami, których znaczna ilość kryje się w karłowatych zaroślach. Tu i owdzie przerażeni zgubnym systemem, zaczynają się upamiętywać. W okolicach Grocholic, skąd niedawno jeszcze dochodziły wieści o straszném tępieniu drzewa, zmienia się wszystko na lepsze. Wskutek zabiegów kilku ludzi rozsądniejszych — jak donosi korespondent *Wieku* — las, a raczej jego resztki podzielono na poręby, ustanowiono nad niemi dozór kosztem funduszów gminnych. Każdy osadnik i komornik ma oznaczoną ilość drzewa na potrzeby domowe, które może brać na mocy odpowiednich kwitów. Wyłamujący się z pod tego rygoru podlega surowej karze. Jeszcze krok dalej rozwagi. Myślą tam o zadrzewieniu wydm piaszczystych i nieużytków. Kraj nasz wiele takich przestrzeni wrzekomo niezdatnych do niczego posiada. Gdyby je zadrzewić, stalibyśmy się o 5% bogatszymi w przyszłości. Proszę się przyjrzeć z okien wagonu: dziesiątki wiorst ciągną się białe niziny, a na nich budki dróżników i ich ogrody. Ciekawym, co by więcej kosztowało: zadrzewienie owych miejsc, czy odgrzebywanie drogi z pod śniegu? Chciałbym usłyszeć na to odpowiedź kolei Nadwiślańskiej. Instytucya ta, budząca zdumienie i grozę powszechną, obmyśla coś tajemniczego dla swych nieużytków i lepszych gruntów. W tych dniach — jak donosi organ lubelski — wyszło rozporządzenie, wzbraniające dróżnikom i majstrom drogowym obsiewania znajdującej się na ich dystansach wolnej przestrzeni wszelkiem zbożem. Dozwolono tylko sadzić kartofle i ogrodowizny. *Gazeta* dodaje: „Nie znamy pobudek, które skłoniły zarząd do wydania powyższej decyzji, ale zaznaczając ją, trudno się powstrzymać od współubolewania dla biedunych dróżników i niebogatych też majstrów drogowych, pozbawionych tym sposobem znacznej pomocy do utrzymania. Szczupła, nawet bardzo szczupła płaca (pierwszych 10, drugich 35 rubli miesięcznie) była znośne wówczas, gdy wolno im było zasiewać żyto na chleb i jęczmień na kaszę. Dziś, po utraceniu przywileju obsiewania zbożem wolnej około domu i plantu przestrzeni, służbę drogową oczekuje nędza ostateczna, ponieważ w wielu miejscach kapusta się nie udaje zupełnie, a samymi kartoflami wyżyć nie można przy ciężkiej pracy i ciągłem czuwaniu. Niektórzy dróżnicy obarczeni są liczną rodziną, niemogącą jeszcze pracować na wspólne utrzymanie; położenie ich zatem wobec nowego rozporządzenia nie jest godnem zazdrości i można się spodziewać, że będą opuszczali zajmowane obowiązki, a szkoda, gdyż spełniają je dobrze.“ Zarząd kolei, który w krótkim czasie zdołał ściągnąć na się oburzenie ogółu, obrał zasadę skrytości w swej gospodarce. Wygodnie to i... oszczędnie, bo papier na tłomaczenia się przed publicznością także kosztuje.

O ile wygodną jest skrytość dla drogi Nadwiślańskiej, o tyle zgubną bywa dla chłopa. Ktoby chciał dopatrzyć źródła tej cechy w charakterze ludu naszego, niech się uda do niezbyt jeszcze dalekiej przeszłości... Jeden z bezpośrednich spostrzegaczy w gub. siedleckiej wiernie przedstawia typ kmiecia: „wszystko, co mu dolega, raduje nawet, dusi sam w sobie, nie lubi się nikomu zwierzać, a jeśli już zmuszony zasięgnąć jakiej rady, nie powie otwarcie i choćby rad cudze zdanie usłyszeć, stawia pytanie tak, aby nikt się nie domyślił, że to o jego interes chodzi.“ Z tego powodu łatwo się naraża na wyzysk. W pobliskiej wsi od miasta (opowiada *Korespondent płocki*) włościanin miał uzbierane pieniądze w sekrecie. Żyd sąsiad, który z nim już nieraz handlował i zbadał jego usposobienie, umyślił sieci zastawić. Przychodzi więc do niego i jako serdeczny przyjaciel powiada na ucho, że 25-rublowe papierki starego stempla wycofane są z kursu, a kto je ma i w przeciągu kilku dni nie wymieni, wszystko straci. Opowiada następnie, że w mieście wielki gwałt, ale żydki dają sobie rady; najmują jednego ze swoich, który jedzie do Warszawy, do wielkiego banku, gdzie wszystkie papierki z Międzyrzeca ma wymienić. Jeżeli wy macie z jednego — dodaje—to zaniesie. Chłop pomyślał, w głowę się podrapał i dał kusicielowi 1,600 rubli do wymiany bez świadków, w tajemnicy. Posłaniec dotąd nie wrócił, a kmieć opłakuje oszczędność kilkunastoletnią.

Zjawił się tamże przemysłowiec-filantrop. Wypożycza on chętnie, nie więcej wszakże jak po 50 rs.; od tej sumy pobiera tygodniowo rs. 1 kop. 18. Tym sposobem po 50-ciu tygodniach dług się umarza. Nieco zawilej i mniej filantropijnie urządza się pewien bankier tamtejszy. Pożycza np. rs. 300 na warunkach następnych: 3% na miesiąc i 25 rubli na umorzenie długu. Przy ostatniej racie jeszcze się płaci ten sam procent, t. j. 9 rubli od 25 zamiast od 300.

Ci panowie mają tę zaletę, że są przynajmniej uprzejmi... przy podpisywaniu rewersu przez dłużnika. Owego przymiotu towarzyskiego dawno się pozbyli (bodaj nie posiadali) fabrykanci łódzcy. Ktoś z tamtejszych mieszkańców kupił w fabryce p. W. przy ul. Piotrkowskiej nowy kapelusz a stary zostawił do przeróbki nie wziąwszy żadnego dowodu na piśmie. W kilka dni potem zgłosił się i przemówił po polsku, na co otrzymał odpowiedź: „Ich verstehe nicht und will nich polnisch verstehen. Warum sprechen sie nicht deutsch? an ihrer Nase erkennt man, dass sie deutsch kennen.“ (Nie rozumiem po polsku i nie chcę rozumieć. Dlaczego nie mówisz pan po niemiecku? — po pańskim nosie poznać można, że umiesz po niemiecku). Dalej oświadczył mu właściciel, że się zna na takich „kawałach“ i... kapelusza nie oddał.

Drogomir.

W SPRAWIE HYPNOTYZMU.

Odbieramy list następujący:

Szanowny Panie Redaktorze!

Poseł Prawdy w ostatniem „Liberum veto“ podniósł zamilczane przez inne organa wyniki wiele mówiącej praktyki pana Ochorowicza. Okazało się to, co zresztą było do przewidzenia. Oto z masy przyobiecanych cudów nie pozostało nawet ani jednego faktu, godnego, nie mówię już podziwu, ale choćby prostej ciekawości. Znany doktór filozofii stwierdził tylko smutną regułę, że łatwiej bujać po przestworzach filozoficznej spekulacji, łatwiej wywoływać zjawiska na papierze, niż w rzeczywistości. Wszystko to jednak, co jest prawdą wobec p. Ochorowicza, nie jest nią bynajmniej dla metody, obranej przez niego za źródło dla zrobienia majątku. Jeżeli malarz zrobi zły portret, to nie dowód, ażeby odnośny rodzaj malarstwa nie miał żadnej wartości. Dlaczegóż więc szanowny i bezstronny Poseł Prawdy nieudolność p. Ochorowicza przerzuca na cały system*), który obecnie wkroczył już do nauki, ma za sobą powagę rzetelnych zdobyczy i bywa coraz częściej stosowanym przez ludzi prawdziwie naukowych?.. Że p. Ochorowicz jest nieudolnym hypnotyzerem i magnetyzerem, to nie ulega. zdaje się, najmniejszej wątpliwości, nawet i dla p. Ochorowicza. Dodać bowiem muszę, że nie będąc w stanie sam wyrobić dla siebie medyów, zwracał się niejednokrotnie do mnie w tym względzie. Tak też było i podczas posiedzeń, urządzanych przez nas w swoim czasie w warszawskiem Towarzystwie lekarskiem! Niewątpliwie więc niebyt, czy też zbytnia słabość hypno-magnetycznej siły, robi to, że p. Ochorowicz pomimo najlepszej chęci prawie nigdy pomódz nie jest w stanie. Fakty, które miały przeto miejsce w szpitalu św. Ducha, a jak słychać, i na mieście, świadczą tylko o odwadze p. Ochorowicza, który nie mogąc leczyć — leczy i bierze pieniądze za swoje chęci, a nie za okazywane usługi. W interesie więc nauki byłoby pożądanem, ażeby medycy otworzyli pole praktyki dla ludzi z rozwiniętą siłą hypno-magnetyczną, gdyż tylko na tej drodze można dojść do objektywnych ogólnień, pozwalających sądzić o wartości metody hypno-magnetycznej.

Aleksander Szmideberg.

*) O *naukowej* stronie hypnotyzmu i jego wpływach leczniczych, badanych *sumiennie*, wcale nie mówiliśmy. *Red.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Stowarzyszenie artystów, malarzy, rzeźbiarzy i innych pracowników na polu sztuki zawiązuje się w Warszawie. Celem jego jest: 1) otwarcie tu stałej wystawy rzeźb, obrazów, szkiców i wogóle dzieł sztuki czystej oraz stosowanej do przemysłu; 2) urządzenie tego rodzaju tymczasowych wystaw w innych miastach Królestwa Polskiego; 3) ułatwienie artystom zbytu ich utworów; 4) przyjmowanie i wykonywanie robót kościelnych, portretowych, dekoracyjnych itd.; 5) wzajemne popieranie działalności artystycznej spółki, która się zawiązuje na lat 10. Kapitał zakładowy, wniesiony przez wspólników firmowych, pp. Józefa Pawłowskiego i K. Martynowskiego, wynosi 1,950 rs. Każdy członek wkłada jednorazowo najmniej 25 rs, jeśli pracuje w zakresie sztuki czystej lub stosowanej. Inni — po 50 rs.

Nowa kolej. Właściciele fabryki w Widzewie, w pow. łódzkim, pp. Knultzer i Heintzol, zamierzają wybudować linię kolei od fabryki do drogi fabryczno-łódzkiej. Długość jej około jednej wiorsty. Koszt obliczono na 17,000 rs.

Ruchomości miejskie. Na zasadzie § 1.172 części I tomu X Zbioru praw, nieruchomości miejskie po zmarłych bezpotomnie i niezostawiających testamentu, przechodzą na rzecz miasta, ruchomości zaś — na rzecz skarbu. Niedawno kilka rad miejskich w Cesarstwie udało się do ministeryum spraw wewnętrznych z prośbą, aby i ruchomości w spadkach bezdziedzicznych dostawały się miastu. Podług biura korespondencyjnego w Petersburgu, ministerya dóbr państwa, skarbu i spraw wewnętrznych przychyliły się do tej prośby pod warunkiem: 1) miasto obejmuje ruchomości w posiadanie po 10 latach od dnia ogłoszenia o wakującym spadku; 2) miasto obejmuje tylko ruchomości pozostałe po obywatelach honorowych i kupcach, mieszczanach rzemieślnikach i robotnikach.

Ubezpieczenie robotników. Rada państwa (donosi *Grażdanin*) wkrótce rozpatrzy projekt urządzenia rządowych kas ubezpieczenia robotników fabrycznych, tudzież oficyalistów kolei żelaznych. Czynność ta ma być obowiązkową.

Z sądownictwa. Dzienniki petersburskie donoszą, że ma być wydane prawo, aby skargi na zarządy miast zanoszono do gubernatorów, na urzędy gminne w Cesarstwie — do instytucyj polubownych włościańskich, w gub. nadbałtyckich — do sądów powiatowych.

Wywóz okowity z Rosyi (podług *Odesk. List.*) za granicę, szczególniej do Turcyi, w ostatnich czasach znacznie się zmniejszył. Przyczyną tego ma być współzawodnictwo wódki rumuńskiej.

Upadłość. Znaczna firma fabryczna Hüffera w Crimitschau i Łodzi zawiesiła wypłaty. Pasywa około 3 milionów marek.

Przytułek dla artystów. Z zapisu Rossiniego buduje się w Paryżu przytułek dla artystów muzycznych, którzy doszli do 60 lat, są pozbawieni opieki i środków utrzymania. Otwarcie zakładu nastąpi 1 października b. r.

W Madrycie 1 kwietnia odbyło się pierwsze od czasu regencyi królowej Krystyny uśmiercenie dwojga przestępców, młodej kobiety i jej kochanka, za pomocą *garroty* (koła duszącego). Królowa chciała ich ułaskawić, jak wielu innych skazanych na śmierć, lecz sprzeciwili się temu ministrowie ze względu na doniosłość zbrodni.

Fabryka wózków dziecinnych powstała w Warszawie. Wysyła ona swe wyroby przeważnie do Cesarstwa.

Departament dóbr Cesarskich przedsiębierze budowę elewatorów. Pierwszy, największy, urządzony będzie w Petersburgu nad nowym kanałem morskim, następnie inne w Rydze, Rybińsku i przystaniach nadwołżańskich.

Kolej syberyjska. *Petersb. Wied.* donoszą, że komitet ministrów ostatecznie rozstrzygnął sprawę kolei syberyjskiej. Będzie ona budowana przez przedsiębiorców bez zaliczek ze strony skarbu.

Senat wyjaśnił: 1) iż opiekunowie powinni pobierać 5% wynagrodzenia nie z ryczałtowego, lecz z czystego dochodu zarządzanego przez nich majątku. 2) Umowy o sprzedaż żydom lasów na wycięcie w takim jedynie razie są prawne, jeżeli kontrakt nie zawiera warunków chociażby nawet ukrytej dzierżawy.

Departament przemysłu i handlu ma rozstrzygnąć kwestyę, czy spadkobiercy zmarłego przemysłowca lub właściciela handlu mogą prowadzić dalej interes na mocy wydanego nieboszczykowi świadectwa aż do końca jego terminu, czy też powinni wykupywać nowe świadectwa na własne imię.

Kopalnie żelaza. Podług sprawozdania naczelnika okręgu górniczego południowo-zachodniego, w ciągu r. 1886 otrzymano przeszło 4,000,000 pudów żelaza z kopalń w okolicach Krzywego Rogu.

Monopol tytoniowy. Ministeryum skarbu uporządkowało już dane o plantacyach i fabrykach tytoniu w państwie ruskiem i na podstawie ich ułożyło szereg wniosków ogólnych o zaprowadzeniu rządowego monopolu. Przy istniejącym systemie skarb z akcyzy od tytoniu osiąga około 17,800,000 rs. rocznie, natomiast przy monopolu dochód byłby o 70% większy.

Banknoty nowego wzoru 5, 10 i 25-rublowe wkrótce będą wypuszczone z Banku państwa.

Konkurs. „Lutnia“ warszawska, w celu pozyskania jaknajwięcej na chór męzki utworów polskich, ogłasza powtórny konkurs z terminem nadsyłania do 15 czerwca r. b. Żądane są utwory w formie pieśni bez wyłączenia zwrotkowych. Nagrody dwie: pierwsza pięć, druga trzy dukaty w złocie.

Nowe instytucye. Do liczby zakładów dobroczynnych, pozostających pod opieką rady gubernialnej warszawskiej, przybędą wkrótce dwa: dom schronienia dla starców we Włocławku i ochrona dla dzieci w Skierniewicach. Na urządzenie ich wyznaczono już odpowiednie fundusze.

Literatura. Ks. Stanisław Załęski przy kościele św. Barbary w Krakowie pisze dzieło o masonii w Polsce. W tym celu rozesłał odezwy do pism, prosząc publiczność o nadsyłanie mu materyałów.

Okólnik ministra skarbu rozesłano, a przy nim przepisy do zarządzających opłatami akcyznemi i izbami skarbowemi w uzupełnieniu rozporządzeń z d. 16 (28) stycznia 1888 r. o akcyzie od zapałek zagranicznych i o sprzedaży fosforu, tudzież o porządku przewożenia tego produktu i wydawaniu go z komór celnych, wreszcie w procedurze urzędów przy czuwaniu nad sprzedażą fosforu. W okólniku zalecono, aby przy wydawaniu patentów na fabryki zapałek, które będą czynne od 1 (13) maja r. b., żądać dopłaty podatku patentowego za dwa miesiące, a mianowicie: od fabryk z warsztatami ręcznymi rs. 8 k. 30, od poruszanych przez konie — rs. 16 k. 67, z motorami parowymi — rs. 25. W razie nieprzygotowania do 1 (13) maja ustanowionych książek, wolno prowadzić rachunki w kajetach sznurowych z pieczęcią akcyzy. O sposobie pobierania opłaty od zapasów zapałek w sklepach, wydane będzie oddzielne rozporządzenie.

Przepisy o własności w pasie fortecznym. Całą przestrzeń okręgu twierdzy warszawskiej podzielono na trzy pasy ze szczegółowem wymienieniem wsi, miasteczek, przedmieść, osad i kolonij. W drugim i trzecim pasie esplanady cytadeli wzbroniono podwyższania lub zniżania poziomu ziemi, kopanie dołów, robienia składów kamieni lub innych ciężkich materyałów, urządzania stawów, kanałów, tam, przewodów wodnych, dróg, bruków itd., zmiany w istniejących już urządzeniach, zakładania parków, ogrodów, szkółek drzew i lasów, wznoszenia nowych kościołów, budynków wieżycowych lub przeróbki w istniejących. Zezwolenia na budowle komendant nie może odmówić, jeśli one nie zakrywają swobodnej przestrzeni dla strzałów, nie przyczyniają się do sprowadzenia wody do rowów fortecznych, nie zniżają poziomu rzeki i nie ułatwiają badania fortecy zewnątrz. W trzecim obrębie esplanady nie wolno wcale wznosić budynków murowanych lub ich części (z wyjątkiem kominów i pieców) tudzież fundamentów ponad dwie stopy wysokości nad poziom powierzchni. Dalej wzbroniono robienia sklepień i piwnic z kamienia i żelaza, pieców i kominów fabrycznych większych rozmiarów. Z upoważnienia komendanta mogą być tylko urządzane cmentarze tudzież budynki nie wymienione w zastrzeżeniu. Odmowy nie będzie na budowle z drzewa na fundamentach nie wyższych nad dwie stopy. W pasie drugim prócz ograniczeń dla trzeciego, zakaz obejmuje wszelkie domy mieszkalne, piwnice, pomniki, żywopłoty. W pierwszym pasie wolno budować wszelkie fabryki, zakłady, kościoły itd. przy zastosowaniu się wszakże do planów zatwierdzonych przez dowodzącego wojskami warszawskiego okręgu wojennego. Przedsiębiorcy robót fortecznych za pozwoleniem komendanta mogą wznosić na esplanadzie czasowe pomieszczenia dla ludzi, koni, ruchomości i materyałów z warunkiem zniesienia ich i zrównania ziemi własnym kosztem na każde żądanie. W obrębie esplanady budynki drewniane i murowane, nieodpowiadające powyższym przepisom, mogą być utrzymywane i odnawiane w tym stanie, w jakim są. Na przebudowanie lub wzniesienie nowych trzeba wyjednać pozwolenie dowodzącego wojskami warszawskiego okręgu wojennego. W tymże obrębie wsie, kolonie i fabryki przy zabudowywaniu wymagają takiegoż upoważnienia.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. H. Bar. w Mławie. Żądanie Pańskie odstąpiliśmy księgarni Gebethnera i Wolffa, która głównie tego rodzaju książki wydaje i zapewne Panu swój katalog prześle.

E. Jest to rymowana proza — do tego proza, której rozumowaniu wiele zarzucić można.

P. Woj. Są to fakty albo wiadome, albo niemożliwe do zużytkowania.

Czytelnikowi „Prawdy.“ Dlaczego list bezimienny?

W. M. R. Niestety, pod względem artystycznym utwór słaby.

P. Alek. Kawie. Gdyby ktoś założył sobie łamać prawidła wierszowane, nie mógłby lepiej tego dokazać od Pana. Przecie samo ucho wskazuje, że: strasznie — poważnie, z głowy — narodowe, niemcy — pobratymców, zgodą — wodę, koniecznie — wieczną itd. — to nie są dźwięki odpowiednie.

P. J. Januszk. w Głuszk. Wagner, Technologia chemiczna rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 30.

Autora „Żeglarzów“ prosimy o porozumienie się osobiste.

Demokr. 1) objaśnić nie możemy, 2) książkę tej treści wydaliśmy.

H. w Dorpacie. Odebraliśmy — inaczej zawiadomić nie możemy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

OFIARY.

Na powodzian. Od oficyalistów zakładów górniczych w Niemcach: B. Jankiewicza, J. Kochmana, J. Modlińskiego, W. Niedzielskiego, M. Rastawieckiego, P. Sadkowskiego, A. Sobolewskiego i J. A. Zielińskiego, zebranych u jednego stołu z okazyi pożegnania kolegi Michała Hebanowskiego, opuszczającego zakłady, rs. 8 — od Michała Hebanowskiego, rs. 2. — Od J. Z. z Odesy rs. 2.

---

i dorosłych. Książkę zdobią 2 mapy i 30 rysunków. **3. Pogadanki o niebie i ziemi.** Z 3-ma obrazkami przerobił z oryginału H. W. (Chwilowo wyczerpane) kop. 10. W popularnem i wesołem opowiadaniu chłopca wiejskiego zawarty jest tutaj krótki rys najważniejszych zjawisk astronomicznych. **4. O owadach szkodliwych i pożytecznych w gospodarstwie.** Spolszczył W. Olszewski z 24 rysunkami kop. 10. Obejmuje krótki rys życia, obyczajów i stosunku do gospodarstwa rolnego najważniejszych żuków krajowych. **5. Maszyny parowe i Koleje żelazne.** Przez W. Olszewskiego, z portretem Stefensona, mapką kolei w Królestwie Polskiem i wielu rysunkami k. 10. Po wstępie, wyjaśniającym wogóle znaczenie maszyn jako pomocnika w pracy ludzkiej, podaną jest krótka historya wynalezienia i stopniowego ulepszenia maszyny parowej i parowozu, oraz życiorys Stefensona. **6. Nauka rachunków dla samouków.** P. S. Różańskiego. Jest to nauka liczenia ustnego i piśmiennego, oraz czterech działań, z licznemi zadaniami, zastosowanemi do życia wieśniaka k. 15. **7. Co robić aby być zdrowym i długo żyć?** P. J. Zielczaka z 2-ma rysunkami k. 10. Jest to króciutki zbiór najważniejszych przepisów hygieny. **8. Co robić, gdy kto zachoruje?** P. J. Zielczaka z 2-ma rysunkami k. 5. Książka ta zawiera krótkie rady niesienia choremu pomocy przed przybyciem lekarza. **5. Stara Baśń.** Z powieści J. I. Kraszewskiego skróciła F. M. kop. 10. **10. Kuźma Jeż.** Z powieści T. T. Jeża „Historya o pra-pradziadku" skróciła F. M. k. 10. **11. O Rolę.** Obrazek obyczajowy W. Marrené-Morzkowskiej k. 6. **12. Prawdziwa historya o Szymku parobku i Zofce Pawelcównej.** Obrazek obyczajowy p. Antoszkę k. 5. **13. Bandoska.** Obrazek obyczajowy p. W. Olszewskiego k. 10. **14. Snopek.** Książka dla dzieci wiejskich p. R. M. Jest to zbiór artykulików, wierszy etc., dających dziecku stopniowe pojęcie o jego otoczeniu, zaczynając od samego siebie i chaty rodzinnej, a kończąc na tem, co widzi na niebie. (Wkrótce wyjdzie z druku). **15. Pan Adwokat.** Z powieści p. El. Orzeszkowej: „Nizíny" (wkrótce wyjdzie z druku). **16. Sprawa o wóz czyli historya o jednym wójcie i jego pisarzu.** Opowiedziana przez W. Olszewskiego (wkrótce wyjdzie z druku).

UWAGA. Numera 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7 i 14 mogą być używane do nauki zarówno przez dzieci włościańskie jak i przez wszelkie inne.

Wydawnictwa „Prawdy."

2) J. Brandes: **Główne prądy literatury XIX w.**
Tom I. Literatura emigrantów. Szkoła romantyczna w Niemczech rs. 1 k. 50
„ II. Literatura niemiecka — ciąg dalszy . . . . „ 1 „ 50
„ III. Rewolucya. Zasada powagi, Restauracya . . . . . . „ 1 „ 50
„ IV. Naturalizm w Anglii. Wordsworth, Coleridge, Walter-Scott, Keats, Moore, Shelley, Byron . . . . „ 2 „ —

3) **Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona . . . . rs. 3

4) L. Liard: **Logika** . . . . „ 1

5) A. Espinas: **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii.
Autor przedstawia ustroje życia zbiorowego śród zwierząt, dostarczając niezmiernie ciekawych objaśnień stosunków ludzkich.
Cena . . . . rs. 3

UWAGA. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

6) E. Taylor: **Zmyślność i moralność roślin**
Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.
Cena (w oprawie) . . . . rs. 2 k. —
„ dla abonentów *Prawdy* . „ 1 „ 50

7) L. H. Morgan: **Społeczeństwo pierwotne:** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. B.
Rozwój inteligencyi. — Rozwój idei rządu. — Rozwój idei rodziny. — Rozwój idei własności.
Cena . . . . rs. 4 k. —
„ dla abonentów *Prawdy* „ 3 „ —
z przesyłką pocztową „ 3 „ 50

Egzemplarze oprawne dzieła Morgana **Społeczeństwo pierwotne** nabywać można za dopłatą kop. 40.

8) J. Barni i A. Krzyżanowski: **Męczennicy myśli** (w oprawie) . „ 1 „ —

9) A. Świętochowski: **O powstawaniu praw moralnych** . . . „ 1 „ 50

10) W. Okoński: **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) . „ 1 „ —

11) — **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko . . . . „ — „ 50

12) — **Klemens Boruta**, powieść „ — „ 40

UWAGA. Abonenci, którzy prenumerowali *Prawdę* przez **cały** r. 1887, otrzymali w grudniu dodatek nadzwyczajny, pierwszą część (25 arkuszy druku) dzieła **Historya wieku XIX**; ci zaś, którzy będą prenumeratorami przez półrocze pierwsze roku obecnego, otrzymają w czerwcu resztę tegoż dzieła (ark. 15).

Dla czytelników gazet politycznych

Wyszło z druku i jest do nabycia dzieło prof. A. OKOLSKIEGO

Ustrój Państw Europejskich

i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

Cena rs. 3, z przesyłką rs. 3 kop. 30.

Otrzymaliśmy nieliczną resztę egzemplarzy dramatu W. Okońskiego

NIEWINNI

i sprzedajemy po k. 80, z przesyłką rs. 1.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Апрѣля 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.